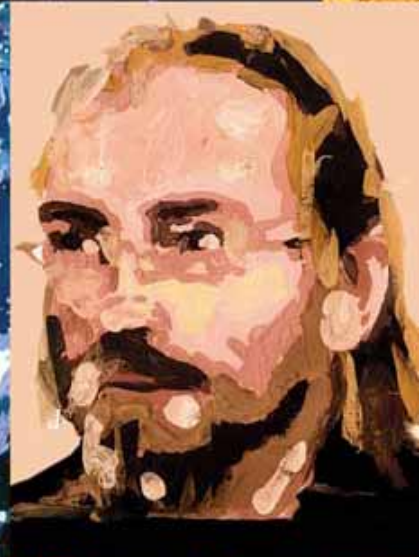


aleje 3

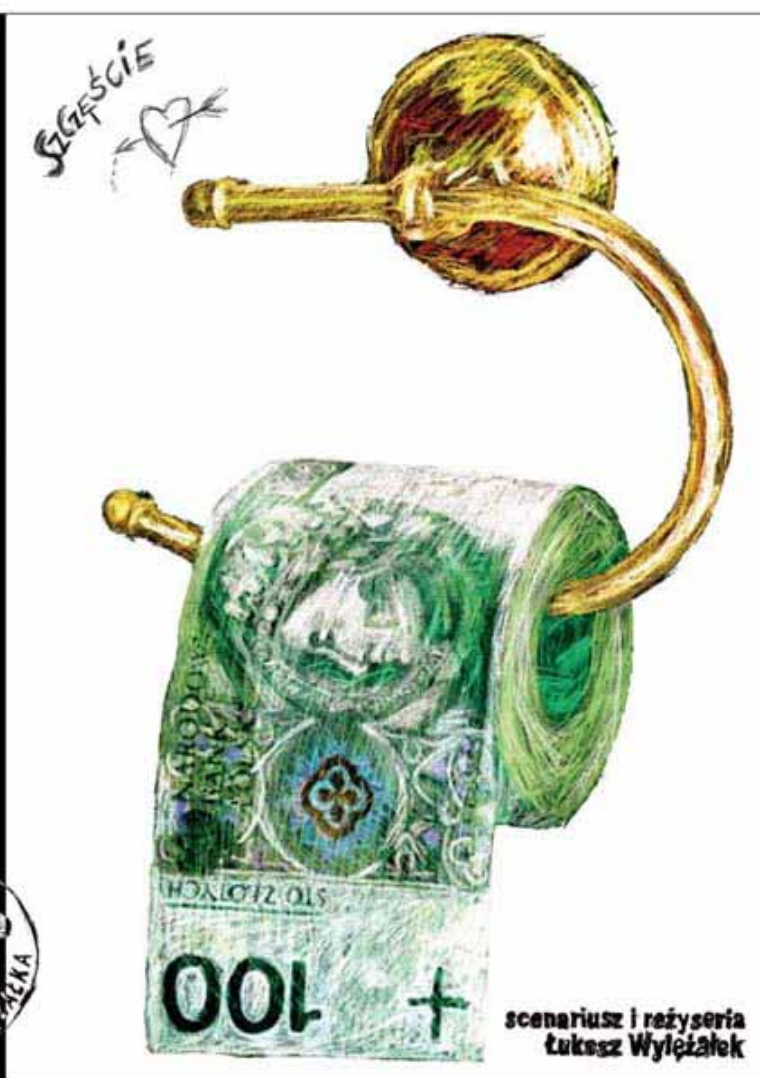
Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

NUMER 61 maj - czerwiec 2007
ISSN 1427-8812 CENA 2 zł





W 25. rocznicę stanu wojennego – plakat, offset



Łukasz Wylęzałek, Szczęście – plakat, offset

aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy

Wydawca
Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czest.pl

Redakcja
Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny
Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i lamanie
Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:
Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

Publikacja współfinansowana
przez Samorząd Woj. Śląskiego



Częstochowa budzi się do życia na wiosnę. Widać to szczególnie z początkiem maja, kiedy wszystko wokół zieleni się i kwitnie, a miasto wydaje się eksplodować imprezami o charakterze kulturalnym – festiwale, koncerty, premiery, wystawy, koncerty, promocje. W odniesieniu do zieleni i kwiatków przyjmujemy tę obfitość bez zaskoczenia. Prawa przyrody są dla nas oczywiste - żeby zieleni buchnęła wiosną, przez zimę korzenie i łodygi pozostając w uśpieniu gromadzą siły i życiodajne soki, by wiosną wystrzelić liśćmi i kwiatami. Kiedy natomiast buchają festiwale, sypią się tytuły i nagrody, skłonni jesteśmy patrzeć na to zjawisko inaczej - jak na chęć artystów odwalenia wszystkiego przed sezonem urlopowym, żeby na wakacjach mieć spokój. W odniesieniu do kultury rzadko pamiętamy, że także i tutaj ziarno jakiś czas musi tkwić w glebie, rosnąć, pęcznieć, by w odpowiednim czasie i miejscu wyskoczyć na powierzchnię i zachwycić nas swoim wyglądem, zapachem, myślami.

Niedawno odwiedził redakcję A3 pan X z branży muzycznej. A że w redakcji nie ma warunków, żeby zaprezentować swoje umiejętności wokalne, instrumentalne czy pedagogiczne w zakresie muzyki, przyniósł dowody swojej pracy. Dwie wielkie torby zdjęć, wycinków prasowych, dyplomów, podziękowań, zaproszeń, listów, wizytówek, pamiątek. Niemało się tego uezbiarało przez ponad 35 at pracy zawodowej. Pan X zajmował się nauczaniem muzyki – w ogniskach muzycznych, klubach przyfabrycznych, domach kultury. Obsługiwał organizacyjnie, emocjonalnie i technicznie wiele imprez ważnych dla muzycznego środowiska Częstochowy i regionu – festiwale, konkursy i przeglądy. Dziś większość tych imprez, jak np. festiwale piosenki radzieckiej czy żołnierskiej, mamy we wdzięcznej niepamięci. Podobnie jak uzyskane tam nagrody i wyróżnienia wychowanków pana od muzyki. Było to dawno, zaś sukcesy najczęściej okazywały się na miarę lokalną, regionalną co najwyżej, ósme miejsca tam, piąte gdzie indziej. Za dawno i za mało, żeby o wysiłkach pana X pamiętały programy promujące w świecie nasze miasto.

Następnego dnia przyszedł do redakcji inny człowiek z branży muzycznej. Pan Y to muzyk. rozpoznawalny, znany z licznych występów, płyt i telewizji. Pan Y pochwalił się wielkim sukcesem swojej grupy w Atenach, gdzie występ oklaskiwało sześć tysięcy widzów. Duży sukces także medialny - telewizja, internet, płyty, gorączka na internetowych forach i czatach.

Dwaj panowie zajmujący się działalnością muzyczną, dwaj muzycy promujący Częstochowę. Jeden dziś nieznany nikomu, drugi znany wszystkim. Jaka jest miara sukcesu? Który z rodzajów działalności muzycznej jest ważniejszy, bardziej potrzebny miastu? Co lepiej promuje Częstochowę?

Jaki to ma związek z wiosenną bujnością traw i przemiennością pór roku? Pan X był niegdyś jednym z nauczycieli pana Y. Pan X to Ryszard Strojec, wieloletni nauczyciel muzyki, pan Y to Janusz „Yanina” Iwański. Pierwszy to życiodajna gleba, dzięki której wyrastają łodygi i liście; ten drugi to kolorowy kwiat naszego miasta.

Marian Piotr Rawinis

SZTUKA TO NIEZŁA ZABAWA

Z Szymonem Parafiniakiem
rozmawia Marian Panek



Jesteś właścicielem studia wydawniczego GRAFFITI. Ukończyłeś ASP w Krakowie, byłeś kilka lat w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych a jednak wróciłeś do Częstochowy. Dlaczego?

Mój powrót do Częstochowy odbył się jako tak samoistnie. Nie planowałem tego. Byłem w Pracowni Litografii na ASP w Krakowie. Zaczęłem planować dyplom. Miałem pomysł, który w zasadzie jest bliski temu, co robię teraz. Chciałem zrobić portrety konkretnych osób w technice litografii i rozszerzyć je o krótkie filmy o każdej z postaci, skonstruowane jak krótka pętla. „Pinió” - prof. Roman Żygulski – szef pracowni, nie załapał jednak tego tematu. Wręcz nie wyraził zgody na taki dyplom. Ja z kolei sądziłem wtedy, że jest to pomysł genialny. Miałem nawet sponsora, który chciał mi pomóc w realizacji tych filmów. Zniechęciłem się wtedy trochę do Szkoły, Pracowni, „Pinió” i całego świata...I myślę, że odcisnęło się to na moim życiu i pracy zawodowej na długie lata. Równolegle pracowałem już na „własną rękę” zawodowo. To znaczy, zacząłem projektować zarobkowo. Jak nie trudno się domyślić, większość zleceń pochodziła z Częstochowy – miasta, gdzie byłem u siebie, gdzie mam wielu znajomych i przyjaciół. Tak więc nie planując powrotu do Świętego Miasta zacząłem się do niego zbliżać. Obroniłem dy-

plom, w zasadzie odbębniłem go. Jakies tam formy zbliżone do ludzkich głów zrealizowałem w technice litografii. Nie jestem do nich zbyt przywiązany. „Pinió” pewnie do tej pory nie jest świadomy tego, że jednocześnie oceniając mnie nazbyt surowo, krytykując moje pomysły – dobre, jak sądzę, na tamten czas - zrobił mi wielką przysługę, gdyż to za jego przyczyną rozstałem się z utopijnymi wizjami sztuki przez duże S. Skoncentrowałem się na projektowaniu graficznym i, jak sądzę, była to dla mnie jedna z lepszych szkół. Otworzyłem z czasem najpierw studio graficzne GRAFFITI, które ewoluowało do miłośna dość uniwersalnej firmy - będącej wydawnictwem, studiem projektowym, agencją reklamową jeśli były takie potrzeby oraz - już w końcu lat 90. - zainteresowaliśmy się Internetem.

Co dały Ci studia na krakowskiej Akademii?

Dostanie się na Akademię granoczyło wtedy z cudem. Próbowałem zdawać kilkakrotnie. w końcu rozpocząłem studia w Częstochowie na WSP, na Plastyce. Jednak po ukończonym 1 roku spróbowałem po raz ostatni i wtedy dostałem się do Krakowa na Wydział Grafiki. Akademia w Krakowie była czymś w rodzaju mitu, Mekki dla artystów, spełnieniem jakiegoś absolutu. Nic więc dziwnego, że po dostaniu się do szkoły życie trochę to weryfikowało... Nie sądzę, że wszyscy, ale na pewno spora część świeżo upieczonych studentów przeżyła pewnego rodzaju rozczarowanie, znalazłem się w tej grupie... Z perspektywy czasu oceniam jednak Akademię w Krakowie bardzo wysoko a lata spędzone tam jako wyjątkowy okres, który ukształtował moją świadomość artystyczną. Pobyt w Krakowie to też ogromnie ważny aspekt życia towarzyskiego, które zawsze związane było ze studiowaniem na Akademii. Kto wie, czy właśnie ta część życia studenckiego nie wywarła na mnie największego wpływu. Myślę też, że Akademia jest dla ludzi samodzielnych intelektualnie, niepokornych, mających własną wizję świata i sztuki. Dlatego też wielu bardzo zdolnych studentów, tych prymusów, gdzieś przepada, tych zdolnych i pracowitych, hołubionych przez profesorów, a ci, którzy nie rokowali zbyt, pozostają w zawodzie i pracują z sukcesem. Teraz, już po wielu latach, oceniam siebie jako studenta, który olewał zajęcia obowiązkowe, za to idealnie wpasował się w wir krakowskiego życia towarzyskiego i artystycznego, szczególnie na pierwszym i drugim roku studiów. Po drugim roku przerwałem studia i wyjechałem na prawie 3 lata do Kanady.

Jakie doświadczenia wyniosłeś z pobytu za oceanem?

W Kanadzie musiałem zmierzyć się z życiem, gdyż wpadłem od razu do głębokiej wody. Zajmowa-

łem się wieloma rzeczami i starałem się mieć otwarte oczy. Najmilej wspominam zajęcia zarobkowe związane ze sztukami plastycznymi. Na przykład, przez jakiś czas malowałem meble w stylu country & western, nanosząc na nie np. ptactwo domowe. Meble te były później postarzane i sprzedawane za koszmarnie wysokie ceny – jako oryginały z epoki. Sporo też zrealizowałem portretów w różnych technikach: od ołówka przez pastele, po nawet akwarele. Muszę tu wspomnieć, że portret zawsze mnie kręcił a jeszcze w liceum zatruwałem życie wszystkim kolegom i koleżankom, musieli mi pozować. Miałem też dość interesujący epizod portretowy na ulicach Toronto. Konkretnie miałem swoje miejsce na Yorkville Ave, ekskluzywnej ulicy pełnej fajnych knajpek i butików. Kiedyś to była hipisowska dzielnica, którą w połowie lat siedemdziesiątych przebudowano. Ten okres pobytu w Kanadzie wspominam najmilej. Otarłem się o miejscową cyganerię, było trochę po bandzie, ale jak kot zawsze spadałem na cztery łapy. Portrety zapewniały dopływ świeżej gotówki. Złożyłem przetłumaczone dokumenty z Krakowa na Ontario College of Art & Design i zostałem przyjęty na 3 rok studiów. Byłem już trochę zmęczony zapachem żywicy i syropu klonowego. Poleciałem więc do Polski na wakacje i zostałem. Wróciłem grzecznie do Krakowa, ale wtedy byłem już kimś zupełnie innym...

Zrealizowałeś szereg projektów wydawniczych. Które z nich, w sensie artystycznym, uważasz za dobre?

Początki pracy w projektowaniu nie były łatwe. Ale myślę, że miałem trochę szczęścia. Dopiero co zaczynałem, uczyłem się właściwie, a Grzegorz Sitak, właściciel firmy Goldregen, zaufał mi na tyle, że powierzył pełne projektowanie i obsługę Międzynarodowego Pokazu Pirotechniki i Laserów w Olsztynie. Impreza, którą obsługiwałem przez kilka lat, pozwoliła mi zarobić pierwsze pieniądze na sprzęt i oprogramowanie, jak również dała mi to, czego nie da się kupić: nabrałem doświadczeń, okrzeplem i poznałem ludzi. Praca tego typu wymaga cierpliwości. Musisz kolekcjonować swoje dobre realizacje. Jeżeli jesteś niezły, prędzej czy później ktoś ważny zapuka do twoich drzwi. Udało się zrealizować kilka istotnych dla mnie projektów wydawniczych. Za niezły uważam cykl albumów dla galerii ART z Warszawy, dla takich artystów jak: Jacek Łydzba, Aleksandra Waliszewska, Bogna Gniazdowiska, Darek Pała, Krzysiek Kokoryn czy Adam Korszuń. Cenię też moje projekty dla Michała Świdra – genialnego artysty związanego z Galerią Kersten z Krakowa. Chcę

także wymienić moje realizacje dla Tomka Sętowskiego, Jacka Pałuchy, Małgosi Stępnia, Mariana Panka i projekt zbiorowy wymyślony przez Kubę Malke, Potęga Wyobraźni. Ogólnie jestem krytyczny wobec siebie i nie ma tu ziarna kokieterii.

Co wnoszą inni do Twoich działań artystycznych?

Grzecznie i bezpiecznie egzystowałem sobie jako projektant graficzny, aż tu nagle spadł na mnie jak grom z jasnego nieba temat muzyczny, na który właściwie czekałem całe lata nie będąc tego świadomym. Temat, który połączył to, co jest mi najbliższe: muzykę, która zawsze towarzyszyła mojemu życiu i portret, który zawsze mnie bardzo pociągał. Rozpoczęła się moja przygoda z plakatami jazzowymi. Właściwie są to portrety, które staram się łączyć ze świadomie niezbyt wyszukaną typografią. Nie zależy mi też na mocno wyszukanej, nowoczesnej kompozycji. Zrealizowałem w sumie kilkadziesiąt plakatów-portretów. Kilka z nich cenię. Są dla mnie znakiem pewnego czasu, pewnej gorączki. Pewnej nowej energii, która nagle się we mnie pojawiła. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z ułomności niektórych realizacji. Np. zrealizowałem plakat, który jest strasznym gniotem, z okazji powołania do życia „Zachęty” częstochowskiej. Jednak nie wstydzę się tej realizacji, co powtarzam swoim kumplom: Piotrkowi Dłubakowi i Jackowi Łydzbie. Jestem zdania, że w życiu wszystko jest potrzebne: dobre i złe. Podobnie z realizacjami artystycznymi. Są one naszymi znakami. Pokazują



„Joe Cox”, z Erykiem Fesołowiczem

nasze emocje, nasze życie – jak wtedy wyglądało. Bo tu się nic nie oszuka... Nazbierałem przez te kilka lat kilkadziesiąt lepszych i gorszych realizacji plakatowych, głównie jazzowych. Tak więc moje działania artystyczne są bardzo mocno powiązane z ludźmi, których prezentuję i dla których projektuję. Właściwie, moje prace powstały dzięki tym ludziom, bo powstały na konkretną okazję i na konkretne zamówienie. Jestem im wszystkim wdzięczny za zaufanie.

Jesteś autorem lub współautorem kilku założeń wystawienniczych. Jak one powstawały? Opowiedz o swoich strategiach artystycznych.

Wcześniej nigdy nie pracowałem w kontekście prezentowania swojego dorobku. Na pierwszą, w dodatku wspólną wystawę, namówił mnie Jacek Łydzba. To było latem 2003 podczas Dni Częstochowy w „Gaude Mater”. Było super, przyszło całe miasto. Zagrało nam trio jazzowe. Nazwaliśmy wystawę: RY(T)MY CZĘSTOCHOWSKIE. Pomyślałem, że jeżeli mam się pokazać, to musi to być pewna logiczna, niewymuszona sytuacja. Musi być jakiś pomysł, jakieś przesłanie powinno towarzyszyć tej wystawie. Ma to mieć sens głębszy, polegający nie tylko na wyeksponowaniu prac autorów. Myślę, że to się udało. Jacek pokazał to, co w Częstochowie kiczowate, m.in. Mazan Bus i dewocjonalia. Ja natomiast pokazałem to, co szlachetne i artystyczne: plakaty muzyczne i portrety artystów. Połączyliśmy ze sobą Rytm Miasta i Rymy Częstochowskie. Bo tak postrzegaliśmy wtedy nasze miasto – dwojako. Wszedłem wtedy na ścieżkę wojenną. Od razu zaczęły się głosy krytyki, dyskusje, podsumowania, wkładanie do wora, dopatrywanie się analogii, zarzuty. Miałem wrażenie, że się komuś narażam. Nawet, że zrobiłem coś złego. Głupie to było strasznie. Aż zrozumiałem w końcu, że trzeba robić swoje i każdemu to polecam. Każdy ma swój wewnętrzny rytm, swój puls, w którym żyje i pracuje, i jeśli nie rani innych, to ma prawo być człowiekiem wolnym i robić co mu

się podoba, a jeżeli ma wystarczająco dużo odwagi, może to manifestować. Myślę, że pierwsza wystawa z Jackiem Łydzbą umocniła moje poczucie wolności i odrębności i w tym była jej największa wartość. Dała mi siłę do zaangażowania się w mój kolejny, jak się zdaje, bardzo karkołomny projekt, który zrealizowałem wspólnie z Piotrkim Dłubaniem.

Jak się pracowało z Dłubakiem po raz drugi?

Bardzo go cenię. Kolega i partner we wspólnej realizacji pt. „Ojcowie i córki”. Urzekła mnie jego bezkompromisowość. To, co ludzie postrzegają jako wadę,

przywarę Piotra, właśnie tę jego bezkompromisowość i nieustępliwość, ja uważam za wielkie zalety. One pozwalają mu pozostawać czystym. Dzisiaj już takich ludzi prawie nie ma. Prawie każdy czymś się ubrudził. Tak go postrzegam. Wracając do sprawy, latem 2004 wyklarował się nam karkołomny i niezmiernie trudny pomysł sportretowania kilkunastu częstochowian wraz z córkami. Chcieliśmy dać wyraz naszemu ojcostwu, które obaj silnie przeżywalismy jako świeżo ojcowie. Projekt o tyle był trudny, bo i lekko sentymentalny, i technicznie skomplikowany. Poza tym postawiliśmy się na bardzo wysokim świeczniku sięgając po rozpoznawalne głowy w mieście. Wpadłem w wir pracy, odkładałem kilkakrotnie datę wernisażu, Piotr zaczynał być na mnie zły. Dopadła mnie też straszna trema, gdy zacząłem zdawać sobie sprawę, na co się porywam. Bardzo pomógł nam Franciszek Kłak, który w miejscu tak trudnym jak foyer Teatru im. A. Mickiewicza zaaranżował świetną wystawę. Wstęp do katalogu napisali nam ojcowie z naszej wystawy: Andrzej Kalinin i Krystian Piwowarski. Imprezę poprowadzili aktorzy-ojcowie: Marek Ślosarski, Adam Hutyra i Michał Kula. Wernisaż uświetnił występ ojców-muzyków Antoniego „Ziuta” Gralaka i Janusza „Yaniny” Iwańskiego. Impreza była nominowana do imprezy roku przez „Gazetę Wyborczą” i myślę, że przeszła do historii miasta z wielu względów. Po raz kolejny zależało mi na tym, aby wysta-



„Muza”, z Władysławem Kaźmierczakiem

niecznie skomplikowany. Poza tym postawiliśmy się na bardzo wysokim świeczniku sięgając po rozpoznawalne głowy w mieście. Wpadłem w wir pracy, odkładałem kilkakrotnie datę wernisażu, Piotr zaczynał być na mnie zły. Dopadła mnie też straszna trema, gdy zacząłem zdawać sobie sprawę, na co się porywam. Bardzo pomógł nam Franciszek Kłak, który w miejscu tak trudnym jak foyer Teatru im. A. Mickiewicza zaaranżował świetną wystawę. Wstęp do katalogu napisali nam ojcowie z naszej wystawy: Andrzej Kalinin i Krystian Piwowarski. Imprezę poprowadzili aktorzy-ojcowie: Marek Ślosarski, Adam Hutyra i Michał Kula. Wernisaż uświetnił występ ojców-muzyków Antoniego „Ziuta” Gralaka i Janusza „Yaniny” Iwańskiego. Impreza była nominowana do imprezy roku przez „Gazetę Wyborczą” i myślę, że przeszła do historii miasta z wielu względów. Po raz kolejny zależało mi na tym, aby wysta-

wa, a raczej jej wernisaż, były działaniem przemyślanym, mającym jakiś sensowny scenariusz. Myślę, że się to udało w dużym stopniu. Oczywiście, pojawiło się przy tej okazji bardzo wiele słów gorzkiej krytyki, dużo więcej niż przy okazji mojego debiutu z Jackiem Łydzką. Sytuacja ta jednak utwierdziła mnie w przekonaniu, że podążam właściwą drogą – swoją własną. Poczulem wtedy taki lekki podmuch ciepłego wiatru... Myślę, że wiesz, o czym mówię...

Najbardziej owocny w realizacji był rok 2006. Pokazałeś ponownie lwi pazur

Rok 2006, w którym skończyłem 40 lat i który jest dla mnie rokiem jubileuszowym ukończenia studiów na Akademii w Krakowie 10 lat wcześniej i rozpoczęcia samodzielnej pracy zawodowej, zaowocował wieloma wydarzeniami artystycznymi. Zaczęło się od razu zimą: 20 stycznia odbył się wernisaż mojej wystawy „MUZA...” Pokazałem swoje plakaty muzyczne w Bałtyckiej Galerii Sztuki Współczesnej, do której zaprosił mnie ówczesny dyrektor Władysław Kaźmierczak – kultowa postać polskiego performancje. Galeria Bałtycka, to miejsce magiczne i bardzo ważne. Wystarczy prześledzić, kto miał tam wystawy. Myślę, że cała czołówka polskiej sztuki współczesnej. Tak więc było to dla mnie wielkie wyróżnienie. Pojechałem na wernisaż razem z tobą. Mam nadzieję, że pamiętasz naszą pełną przygód podróż przez całą Polskę w tę wyjątkowo mroźną zimą. Przypominała klasyczny amerykański film drogi.

Zaledwie tydzień po naszym powrocie z nad morza, miała miejsce w Częstochowie impreza zatytułowana „Joe Cox...”

Było to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie, gdyż zaproponowano mi napisanie scenariusza i reżyserię całej imprezy. Impreza zebrała bardzo dobre recenzje a jej niektóre części składowe, to koncert

YeShe, wystawa fotografii Pati, pokaz pret-a-porter Dwitch (Joli Dymowicz). Był to czas, kiedy strasznie rozpierała mnie energia. Już 24 lutego odbył się wernisaż wystawy „PROJECT OR...”, której byłem komisarzem, pomysłodawcą i jednym z uczestników. Była to wystawa zbiorowa ukazująca w sposób przekrojowy nurty w nowoczesnej myśli projektowej w kraju. Podczas wernisażu odbył się koncert Wojciecha Waglewskiego i Mateusza Pospieszalskiego. Wystawa miała miejsce w Muzeum Częstochowskim a spośród jej uczestników chciałbym wymienić Jarka Koziarę, który jest nadwornym projektantem Wojtka Waglewskiego i Jurka Owsiaaka,

scenografem, performerem, artystą ziemi i ognia, człowiekiem wyjątkowym. Świetną aranżację wystawy wykonał też Franciszek Kłak, którego również zaprosiłem do zaprezentowania swojego dorobku na wystawie. Było to moje kolejne i bardzo udane spotkanie artystyczne z Franciszkiem Kłakiem, którego bardzo cenię i lubię prywatnie. Wystawa zyskała bardzo dobre recenzje i została zauważona w kraju. Na wernisażu były niespotykane zwykle tłumy. Nie scy dali radę wejść do budynku muzeum. To było świetne...

Zrealizowanie wystawy było niezwykle pracochłonne ale i tym razem miałem poczucie spełnienia. Chcę, aby PROJECT OR... stał się wystawą cykliczną, np. triennale, za każdym razem z innym scenariuszem i problematyką. Już dwa dni później, 26 lutego, odbył się spektakl poświęcony Markowi Perepeczce zatytułowany „Znaczyć sobą”. Zostałem zaproszony przez Teatr im. Adama Mickiewicza do współpracy. Wykonałem na tą okoliczność portret Marka Perepeczki, na podstawie którego powstał plakat na imprezę poświęconą artyście. Obraz znajduje się obecnie w foyer Teatru im. Adama Mickiewicza. Natomiast jesienią 2006 roku zmodyfikowałem swój pomysł na wystawę „MUZA”, którą pokazałem w listopadzie w Śląskim Zamku Przedsiębiorczości i Sztuki w Cieszynie. Imprezie towarzyszył koncert Tymona Tymańskiego z YASS ENSEMBLE. Było



“Project or”, z Wojciechem Waglewskim

PLASTYKA

fajnie. Tymon dał niezwykle szoł podczas wernisażu, który zapamiętam do końca życia. Jak zawsze były przygody. Nocleg mieliśmy w Cieszynie, po czeskiej stronie. Jeden z moich gości, – przyjaciel z Krakowa zapomniał zabrać ze sobą paszport i musieliśmy przemycić go przez granicę... Na początku grudnia odbyła się, jak do tej pory, najważniejsza dla mnie impreza: ERA JAZZU CHRISTMAS TOUR - indywidualna wystawa moich plakatów muzycznych towarzysząca trasie koncertowej Dee Dee Bridgewater i Friend & Fellow w Filharmonii Narodowej w Warszawie i w Piano Barze w Starym Browarze w Poznaniu. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, na czym polega profesjonalne przygotowanie imprezy. Od Dionizego Piątkowskiego – dyrektora i twórcy Ery Jazzu - bardzo wiele się nauczyłem. Poza tym wierzę, że ta wystawa rozpoczyna dopiero moją współpracę z Ery Jazzu... Zupełnie na koniec roku 2006, konkretnie na 14 grudnia zrealizowałem plakat na imprezę, która odbyła się w Filharmonii Częstochowskiej – „W 25 rocznicę Stanu Wojennego” songi Jacak Karczmarzkiego w wykonaniu HABAKUK. Była to dla mnie ważna realizacja m.in.

z formalnego punktu widzenia, dlatego o tym wspominam. Rok 2006 był więc dla mnie rokiem magicznym. Niezwykle obfitym i ciekawym w wydarzenia artystyczne. Był to rok spełnienia zawodowego...

Jakie masz dalsze plany artystyczne?

W roku bieżącym postanowiłem się wyciszyć. Przemyśleć i przeanalizować to, co do tej pory artystycznie zrealizowałem. Stąd moja mniejsza aktywność. Dostałem jednak bardzo ciekawą i kuszącą propozycję. Mianowicie, Dionizy Piątkowski z Ery Jazzu zaproponował mi zrealizowanie 12 portretów największych gwiazd, które gościły na festiwalu ERA JAZZU do tej pory. Portrety będą zaprezentowane 10 grudnia 2007 w Warszawie w Sali Kongresowej podczas ERA JAZZU CHRISTMAS GALA. Będzie ich 12, gdyż całemu przedsięwzięciu będzie towarzyszyć wydanie okazjonalnego kalendarza. Bardzo cenię sobie również znajomość z Łukaszem Wyleżalkiem, dla którego zrealizowałem w ostatnim czasie plakat do sztuki teatralnej pt. „Szczęście”. Łukasz to człowiek niezwykle i inspirujący. Wydaje ci się, że masz



“Project or”

gotowy pomysł. Ale okazuje się, że nie. Łukasz wywraca wszystko go góry nogami, zachęca do spojrzenia z nowej perspektywy... Znajomość z Łukaszem i ten projekt pozwoliły mi zrozumieć, że w sztuce nie może być miejsca na kompromis.

Jesteś zaangażowany z działalność stowarzyszeń „Zachęta” i „Jasna Chmura”. Jaki sens dla Ciebie ma działalność społeczna?

Ja to postrzegam inaczej. Nie myślę o moim zaangażowaniu, to się dzieje samoczynnie. Kieruję się w życiu intuicją i jeśli ona mówi, że coś ma znaczenie i wartość, to idę w tym kierunku a rachunek finansowy w ogóle się nie liczy. Bardzo ważne dla mnie było spotkanie i współpraca z Ziutem Gralakiem i Dorotą Jabłońską. Od roku 2004 zrealizowaliśmy wspólnie wiele imprez, do których projektowałem plakaty. A najważniejsze wspólne przedsięwzięcie to festiwal „Garaż”, którego szczęśliwie odbyły się już dwie edycje a trzecia jest w trakcie planowania. Stąd wziął się pomysł zarejestrowania Fundacji „Jasna Chmura”. Chciałbym podkreślić dużą rolę Krzyśka Stacherczaka i Eryka Fesołowicza przy realizacji tego przedsięwzięcia. Jeśli chodzi o „Zachęte”, to piastuję zaszczytną funkcję wiceprezesa. Mamy naprawdę poważne plany. Współpracujemy z podobnymi organizacjami w kraju i za granicą. Głęboko wierzę, że po oddaniu do użytku Konduktorowi pokazemy, na co nas stać.

Opowiedz o początkach swojej drogi artystycznej.

Siłą rzeczy nasza rozmowa przywołuje wspomnienia, skłania do refleksji... Myślę, że dla mojej drogi artystycznej bardzo ważne były lata spędzone w II Liceum im. Romualda Traugutta. Tworzyliśmy wtedy paczkę kumpli z różnych szkół o podobnych, artystycznych zainteresowaniach. Spotykaliśmy się po szkole w EMPiK-u. Chłopaki z Traugutta: ja, Sławek Szafert, Jacek Gabriel, Sławek Ślęzak, z Sienkiewicza: Jacek Pałucha, Paweł Lemanik, Jacek Łydzba, Marian Kała. z Liceum Plastycznego: Adam Mrozek, Robert Włodarczyk, Krzysiek Pięta. Ze Słowackiego: Eryk Fesołowicz. Ale też spotykaliśmy dwa lata starszych od siebie kumpli z grupy T.Love: Muńka Staszczyka, Janka Knorowskiego, Zająca i Słonia... Wpadał też Darek Gajewski z Traugutta – obecnie reżyser filmowy, twórca m. in. filmu „Warszawa”. Czy Szczepan Ociepa z Findera – współtwórca, z Jackiem Pałuchą, Formacji Nieżywych Schabuff. Wszyscy chcieli grać, tworzyć, żyć kolorowo i na luzie. To była nasza walka z komuną, mimo że wtedy nie do

końca to sobie uświadamialiśmy. Powstał swoisty underground częstochowski, gdzie najważniejszymi zjawiskami była właśnie wspomniana wcześniej grupa T.Love oraz Formacja Nieżywych Schabuff na czele z Jackiem Pałuchą. Ale także Izba Pamięci z charyzmatycznym, już niestety nie żyjącym Arturem Kuciakiem, Barocco Burdello – grupa Eryka Fesołowicza, Opozycja z Jackiem Śliwczyńskim, Kazachstan – Grzeška Nowickiego czy Stop Kran, którego byłem współzałożycielem. Odbywały się cykliczne imprezy w Domu Kultury Stradom. Ale doczekaliśmy się też legendarnego festiwalu „Garaż”, który odbył się w „Wakansie”. Były to też lata eksplozji Tie Break, który bardzo mocno wpłynął na naszą świadomość...

Co według Ciebie ważne jest dla ożywienia życia kulturalnego w Częstochowie? Czy masz jakiś pomysł, by je mocniej animować?

Jestem realistą i zdaję sobie sprawę z trudności finansowych. Problem jednak, według mnie, pojawił się wcześniej. Utrata statusu województwa siłą rzeczy zaważyła na wielu aspektach życia naszego miasta. Dla mnie to oczywiste. Ta sytuacja przekłada się nie tylko na życie kulturalne. Według mnie, ważne jest, aby z tego co mamy, z autentycznego dorobku artystycznego wyłowić to, co szlachetne i dobre, na tym się skoncentrować i to rozwijać. Festiwal „Garaż” miałby szansę stać się naprawdę wielką imprezą w kalendarzu całego kraju. Poza tym myślę, że warto postawić na „Zachęte”, która ma w planach m. in. Triennale Sztuki Najnowszej, którego jesteś pomysłodawcą oraz „Project or...” mojego z kolei autorstwa. z innych wydarzeń wymieniałbym Noc Kulturalną, którą jednak ograniczyłbym do mniejszej ilości imprez ale za to bardziej spektakularnych. Jest mi bardzo szkoda klubu „Paradoks”, w którym odbyło się wiele świetnych imprez, jakie przeszły do historii miasta. Ale taki klub nie da rady bez konkretnych subwencji czy sponsora. Myślę, że większe wsparcie finansowe pewnych organizacji pozarządowych, których jednym z celów jest praca organiczna nad zmianą utartego przez lata wizerunku naszego miasta dałoby bardzo dobre efekty. W Częstochowie żyje i pracuje wielu świetnych artystów różnych specjalności. To, obok Jasnej Góry, nasz znak rozpoznawczy. Nasz kapitał.

Dziękuję za rozmowę.

Rozm. M. Panek

V DNI KSIĄŻKI

Historia czterech spotkań

V Dni Książki przebiegające pod hasłem „Słowo i obraz” to najbardziej udana edycja imprezy: najciekawszy i różnorodny goście, panele dyskusyjne, spotkania, wreszcie wydarzenia towarzyszące z różnych dziedzin sztuki.



Tradycyjny kosz kwiatów od prezydenta Częstochowy Tadeusza Wrony

Dni Książki trwały od 8 do 12 maja, program był szczerze wypełniony, więc obejrzenie i wysłuchanie wszystkiego było niemożliwe. Wybrałem spotkania z możliwie jak najbardziej odległymi od siebie twórcami, prezentującymi odmienne gatunki i formy ekspresji.

Na skraju załamania

W Sali Poplenerowej Miejskiej Galerii Sztuki Michał Kula, aktor częstochowskiego teatru, przeczytał monodram Łukasza Wyleżałka „Nowonarodzony” z podtytułem „Moje wigilie. Poemat dygresyjny”. *To światowa prapremiera* – zapowiadała na początku spotkania Anna Woźnicka z Biblioteki Publicznej.

Bohaterem spektaklu jest starzejący się mężczyzna (w wieku 45 – 50 lat, jak precyzuje w didaskaliach autor), scenerią – przystanek autobusowy. Tekst rozpoczyna się wielkim bluzgiem na wszystkich i wszystko („Wszystko postawione na głowie” – mówi bohater), generalną rozprawą z Polską i Polakami. Narrator jest mężczyzną na skraju załamania nerwowego, skacowanym i roztrzęsionym. W swoim

monologu coraz bardziej pograża się w przeszłości. Opowiada o przodkach, a osią konstrukcyjną jego wywodów są wigilie, podczas których, na przestrzeni dziesiątków lat, rozgrywają się symboliczne dla rodziny bohatera wydarzenia. Inny wątek dotyczy fabryki wybudowanej przez jednego z przodków bohatera, którą najpierw nacjonalizują komuniści, w końcowych partiach monodramu dowiadujemy się, że współcześnie przedsiębiorstwo przejęli Koreańcy. Rzec osadzona topograficznie w Częstochowie i bliższej i dalszej okolicy.

Mocny tekst, mocne wykonanie.

Z drzewem na głowie

Michał Malinowski, twórca Muzeum Opowiadaczy Historii, starał się przekonać częstochowian, że warto się uczyć sztuki opowiadania. Towarzyszył mu czarnoskóry bębniarz, uzupełniający występ pieśniami i graniem. „Występ” nie jest tutaj przypadkowym słowem, ponieważ Malinowski uzupełniał treść opowiadanej historii niemal aktorską ekspresją. Nieprzypadkowa była też obecność ciemnoskórego muzyka. Tradycja przekazu werbalnego jest dziś najżywsza właśnie w Afryce, zresztą Michał Malinowski wprost przyznał się do inspiracji „nieuchwytnym dziedzictwem kulturowym” Czarnego Łądu.

A same historie? Po zapisaniu tracą swój urok, na przykład: pewien mężczyzna zauważył, że na głowie zaczyna mu rosnać drzewo. Kiedy ciężar był już byt wielki, udał się po pomoc do czarownicy. Szamanka zaordynowała odpowiednie zioła i zażądała zapłaty w postaci dwóch krów. Kuracja poskutkowała, ale mężczyzna nie chciał wywiązać się z obietnicy. Wtedy na głowie wyrosło mu jeszcze większe drzewo.



Opowiadacz historii, Michał Malinowski, łatwo nawiązał kontakt z także z najmłodszym pokoleniem

Skruszony wrócił do czarownicy, ta wprawdzie mu pomogła, lecz cena wzrosła, pacjent musiał się rozstać z czterema krowami. Morał? Zawsze trzeba dostrzymywać słowa.

Tekst banalizuję tę historię, ale sprawny opowiadacz – taki jak Michał Malinowski - potrafi sprawić, że słucha się jej z zapartym tchem. Siła przekazu mówionego opiera się bowiem na interakcji słuchacza i tego, kto opowiada. Malinowski przekonywał też częstochowian, że taka forma ekspresji ma walor terapeutyczny, bo pozwala wyrzucić z siebie wszystko to, czego wysłuchuje na ogół psychoanalityk.

Egzotyka, bardziej bawi, niż inspiruje.

W życiu jest gorzej

Było tak: do Częstochowy miał przyjechać neolingwistyczny poeta Marcin Cecko, miał być performance wzbogacony muzyką, ale okazało się – jak wyjaśniali organizatorzy - że Cecko zapomniał. W tym samym czasie widziano go na imprezie poetyckiej w Poznaniu.

Ten nieco absurdalny początek spotkania o „pop-poezji” dobrze oddał nastrój całego spotkania. Na szczęście dopisał drugi zapowiadany gość, czyli najbardziej nagradzany poeta w Polsce, Piotr Macierzyński. Dołączył do niego częstochowianin Mateusz Szkop, anonsowany jako prekursor polskiej „pop-poezji”. Szkop wydał kilka lat temu tomik „Wiersze najtańsze”, z okładką stylizowaną na gazetkę reklamową.

„Pop-poezja” żywi się kulturą masową i codziennością, jest pełna ironii, takie też były wiersze

Szkopa, które zaprezentował publiczności. Utwory pochodziły z dwóch cykli „Siekiera, motyka, piłka, szklanka” oraz „Na dwadzieścia batów” i te tytuły dobrze współbrzmiały z treścią wierszy.

Macierzyński to przypadek nieco innego rodzaju. Jest laureatem chyba wszystkich polskich konkursów poetyckich (w tym kilkakrotnie, częstochowskiego im. Haliny Poświatowskiej), żyje z poezji i zajęć okololiterackich. Jego twórczość sięga czasami rejonów nieco wyższych niż pop, ale nie brakuje w niej ironii i fraz, które zapadają w pamięć, na przykład „odnoszę pewne sukcesy w gabinetach psychiatrycznych, w życiu jest nieco gorzej”.

Inteligentnie i zabawnie.

W rytmie siódmkowym

Marcin Wolski przyjechał do Częstochowy na osobiste zaproszenie prezydenta Tadeusza Wrony. Podczas spotkania w Ratuszu był przede wszystkim wypytywany o swoją karierę satyryka i radiowca, bo przecież jest autorem słynnych „60 minut na godzinę” oraz „Polskiego zoo”. Przyznał się, że jego życiorys przebiega cyklem siódmkowym, co oznacza, że poważne zmiany następują co siedem lat. Jeden z takich przełomowych okresów właśnie przechodzi, o czym najlepiej świadczy kilkumiesięczne szefowanie Programowi I Polskiego Radia, a teraz – kierowanie działem rozrywki w telewizji publicznej.

Dokonania radiowo – telewizyjno - satyryczne zdominowały rozmowę w Ratuszu, choć przecież Wolski jest autorem prawie pięćdziesięciu książek, a ostatnią, „Klucz do Apokalipsy”, wydawca zachwał jako polską odpowiedź na „Kod Leonarda da Vinci” Dana Browna. Znamy go jednak przede wszystkim z mediów jako satyryka. Moje uznanie wzbudził, gdy zapytany o utwór, który zaprezentował ćwierć wieku temu w Częstochowie, wyrecytował bez zająknięcia spory fragment.

Nostalgicznie.

Aleksander Wierny



KSIĄŻKA

Dni Książki organizują już od pięciu lat Miejska Galeria Sztuki i Biblioteka Publiczna im. dr. Władysława Biegańskiego. Pierwotne założenia - pokazanie częstochowskiego rynku wydawniczego w formie kiermaszowej prezentacji – uległy z biegiem lat modyfikacji; przenosząc strefę zainteresowań z realnego przedmiotu, jakim jest książka, na działania artystyczne z związane jej tworzeniem.

Tegoroczne V Dni Książki – Słowo i obraz były spotkaniami z literaturą i sztuką książki, realizowanymi w różnych wątkach i sposobach. Przez pięć dni, od 8 do 12 maja, w salach Miejskiej Galerii Sztuki, a także w Muzeum Częstochowskim, odbywały się warsztaty literacko – plastyczne, seanse adaptacji filmowych, dyskusje o literaturze, spotkania autorskie z poetami i prozaikami. Szczególnie, podobnie jak w latach poprzednich, dopisała widownia dziecięca.



Spotkanie z pisarką muzyczną Izabellą Klebańską



Mirosława Truchta-Nowicka uczy, jak wykonać „książkowe moliki”



Poeci z Zagłębia zagłębiali się w poezję ...



Spotkanie z historykiem z IPN, Markiem Lasotą, autorem książki „Donos na Wojtyłę”.



V Dni Książki zakończył recital wybitnej artystki z Piwnicy Pod Baranami, Agaty Ślęzyk

Fotografie: Miejska Galeria Sztuki i Aleje3

CENNY ZABYTEK MAŁO ZNANY

Przy ulicy św. Kazimierza stoi malowniczy dworek. Uwagę przechodnia przyciąga murowana z wapienia i cegły brama z drewnianymi wrotami i furtą, ze starymi oryginalnymi zamkami. Takich bram nie zachowało się wiele w Częstochowie. Ta o ładnym, wprost artystycznym zdobieniu, jest jedyna w swoim rodzaju, a przez to tym bardziej wartościowa.

Przez furtę wchodzimy na podwórko brukowane kocimi łbami. Na środku studnia. Była tu żeliwna pompa. Całość interesującego pod względem architektonicznym obiektu, zwanego kiedyś „oficyną ogrodową”, ma charakter dworku. Był on własnością Jasnej Góry, wraz z rozległym terenem dawnych ogrodów został przekazany budującemu się Wyższemu Seminarium Duchownemu.

Solidne, grube ściany utrzymują w czasie upałów miły chłód. Strome schodki wiodą do sklepionych piwnic. Można tu podziwiać wąż wapiennych murów w doskonałym stanie. Tajemnicze strychy dopełniają wyrazu dawności.

W dworku mieszka parę osób. Starsze, ponad osiemdziesięcioletnie panie uprawiają nieduży ogródek warzywny, położony za domem – ostatni ślad jasnogórskiego ogrodu i sadu. Bardzo ważne to dla nich zajęcie, podobnie jak mieszkanie, do którego się przywiązały. Dom i ogród są położone na skraju rozległej posesji seminaryjnej. Fakt, iż Seminarium posiada oprócz nowoczesnego gmachu także niewielki, piękny dworek może być dla przyszłych księży naocznym przykładem właściwego obchodzenia się z zabytkowymi obiektami, troski o dobra kultury.

Mieszka tu też z rodziną (od 55 lat) laureat ubiegłorocznej Nagrody Prezydenta Częstochowy, Eugeniusz Brańka. Artysta muzyk, pedagog, wieloletni organista i chórmistrz jasnogórski, kompozytor, wykładowca w diecezjalnym studium muzyki kościelnej i w Wyższej Szkole Pedagogicznej (Akademia im. Jana Długosza). Człowiek niezwykle zasłużony



dla Kościoła częstochowskiego i kultury muzycznej Częstochowy, jej ambasador w Polsce i zagranicą.

Mieszkańcy i dom tworzą wyjątkowy klimat miejsca. Obiekt był już kiedyś uznany za zabytkowy. Obecnie trwają przygotowania do ponownego wpisania go na listę zabytków. Stan techniczny budynku nie budzi obaw o bezpieczeństwo mieszkańców. Potrzebny jest jednak remont. Ważne, by został przeprowadzony zgodnie z wymogami konserwatorskimi, aby i w tej dziedzinie częstochowskie Seminarium mogło być wzorem dla innych. Zdarza się bowiem, że nawet w obiektach zabytkowych przy kapitalnym remoncie wszystkie stare elementy konstrukcyjne wymieniane są na nowe, gdy tymczasem wymienione powinny być jedynie części uszkodzone, a reszta zachowana, ewentualnie wzmocniona. W przypadku dworku tak właśnie można i trzeba postąpić, gdyż belki i cała więźba dachowa, drewniana konstrukcja nośna, są - jak stwierdził ekspert - w przeważającej większości zdrowe i zasługują na zachowanie. Takie podejście zmniejsza też znacznie koszty i nie stwarza uciążliwości dla lokatorów, a budynek po remoncie jest autentycznym zabytkiem, a nie makietą czy atrapą. Szczególnie pilnie należy przystąpić do prac konserwatorskich przy bramie.

Każdy poważniejszy remont jest jednak dość kosztowny. Można wyrazić nadzieję, że znajdą się osoby zainteresowane pomocą w utrzymaniu tego cennego obiektu, aby mógł być ozdobą podjasnogórskiej dzielnicy – jednym z nie tak znów licznych w Częstochowie interesujących zabytków budownictwa mieszkalnego.

Władysław Ratusiński



KOMPLETNY ZAWODNIK Z aktorem Markiem Ślosarskim rozmawia Marian P. Rawinis



Gratuluje Złotej Maski... Długa jest Pańska półka z nagrodami?

To już trzecia Złota Maski w mojej, że tak powiem, karierze komedianta. Pierwsza była jeszcze w Bielsku - rok 1987, sztuka „Motyle są wolne” Gersza. Druga w roku 1991 lub 92, kiedy już tu przyjechałem, za „Eskurial” Gelderodego. I ta trzecia. W międzyczasie, skoro możemy się chwalić - były Złote Koturny, uznanie publiczności oraz Nagroda Prezydenta Miasta Częstochowy. To są te nagrody, które dla mnie wiele znaczą. I wyznaczają pewien rytm mojej pracy; zamykają pewien etap, otwierając drugi.

Z aktorem Ślosarskim jest jak ze sławikiem. Najpierw go widać dłużej czas, potem gdzieś się chowa. Kiedy go nie widać, nie wiemy, czy schował się dlatego, że łowi, czy też się przyczaił...

Rybak ma na sławik mały wpływ. Sławiczek pracuje wtedy, gdy rybka bierze. Przenosząc porównanie na mój grunt, to tak naprawdę ode mnie nie zależy. Zależy od tego, w jaki sposób jestem tutaj wykorzystywany, angażowany do poszczególnych spektakli. To odpowiedź, czy jestem czy nie będę mówił czy więcej czy mniej, niech to widz oceni. Gdzieś tam są przygody związane z programem „U nas w Bytkowie”. Oczywiście, może ktoś powiedzieć: a, to taki małe co nieco w TV Katowice. Natomiast przynosi mi to przyjemność bycia nie tylko aktorem. Podchodzę do tego bardzo aktorsko, a troszeczkę staje się też dziennikarzem, na każdy program trzeba się przygotować, trzeba gdzieś tam być, muszę poszerzać swoje horyzonty, inaczej patrzeć na rozmówcę, niż powiemy pod względem aktorskim. Dzisiaj jadę do Łodzi, mam propozycję współpracy, występ w Teatrze Powszechnym, w spektaklu Marka Modzelewskiego. Bardzo sobie to cenię, bo miłą rzeczą jest, kiedy ktoś dzwoni i coś proponuje, a mogę powiedzieć tak. Gram w „Jabłku” i w „Tajemniczym ogrodzie”.

Więc Ślosarski się przyczaił... Należy Pan do aktorów, którzy nie siedzą w oczekiwaniu ale sami szukają różnych możliwości. To wynika z uwarunkowania, że trzeba coś robić?

Z potrzeby na pewno tak. Z potrzeby wewnętrznej, że coś trzeba jeszcze zadziałać, że tak powiem trywialnie. Ja zawsze mówię, że mnie się chce. No, może inni na moim miejscu, w moich latach, i po takim okresie przepracowania na deskach scenicznych, będą siedzieli, oczekiwali i będą zadowoleni. Ja nie mówię, że jestem niezadowolony. Oczywiście, jest OK. Natomiast coś we mnie czasami drga. Coś otwiera się, zamyka i powoduje, że coś tam mnie kręci. Szukam cały czas, uważając, że można. I może trzeba.

Na różnych i rozmaitych polach działalności...

Czasami zazdroszczę wszystkim tym, którzy mogą się odbić w jakichś zainteresowaniach ubocznych. Jestem inżynierem a latam szybowcem, na przykład. Interesują mnie samochody albo ogródek. Ja zawsze mówię, może to frazes, że po trosze przez te wszystkie lata moje hobby stało się bardzo bliskie mojemu zawodowi. Bo wszystko, co gdzieś tam czynię, ma związek z moim zawodem. Wszystko, co potrafię robić, czy wspominając pracę z młodzieżą, czy to, że chętnie dzielę się swoimi umiejętnościami, podszeptując młodym adeptom, co mogą, jak mogą. Jeśli tylko chcą mnie słuchać, ja chętnie się z nimi dzielę, choć nie każdy to robi. Ostatnio przeczytałem wywiad z Dustinem Hoffmanem, który na pytanie, czy będzie się dzielił wiedzą, mówi, że nie, nie potrafię tego robić. To jest troszkę tak, że trzeba to lubić. Być z kimś, umieć nawiązać kontakt. Młodzież, działania parateatralne, reklamy radiowe. Miło, kiedy jestem zapraszany do jurorowania lub prowadzenia jakiegoś koncertu. Miło jest, że ktoś o mnie pomyśli i wtedy na pewno to jest sympatyczne.



Czy okres zajmowania się sprawami administracyjnymi w teatrze coś bezpośrednio daje aktorowi?

Tak. Chyba nie tylko jeśli chodzi o zawód aktora teatralnego, bo myślę, że w każdym zawodzie zobaczenie od drugiej strony problemów związanych z prowadzeniem teatru, czy każdego innego zakładu pracy, to jest taka ciekawostka. To na pewno są pewne doświadczenia w kontaktach z ludźmi. Ale to mam już za sobą. Zamykam kurtynę i zaczynam sobie budować nowe schody.

Dyrektorowanie w takiej firmie jak teatr jest chyba bardzo specyficzne. Aktor dyrektor ma chyba do czynienia ze sprawami, które być może są potem do wykorzystania.

Mówimy o pracy czysto aktorskiej nad rolą? Wszystko, co dzieje się wokół, może być materiałem. Mówię o obserwowaniu świata, ludzi. Plusem może być to, że w tym czasie odbyłem parę bardzo miłych spotkań – mówię o reżyserach, realizatorach. Można było spotkać się, porozmawiać, czy tylko telefonicznie wymienić parę słów. Może jako osoba prywatna nie śmiałybym czy nie potrafiłbym zdecydować się na tego rodzaju rozmowy.

A spotkania ze sponsorami? To jest ten obszar wiedzy, który aktorowi nie jest dostępny, jeśli nie jest osobą funkcyjną.

Łatwiej jest rozmawiać o sponsoringu osobie bardziej medialnej, zupełnie inaczej to nakręca mechanizm sponsorowania, tak jak w produkcjach filmowych. Jeżeli producent mówi: ja dam 5 złotych, ale w tym filmie musi zagrać ten i ten, to jest normalna marketingowa sprawa. Tego typu rozmowy nie należą do łatwych. Poza tym czasami jest tak, że te sumy wcale nie są wielkie. Ogólnie jest to wielki gest, wspaniały, nawet jeśli chodzi tylko o pomoc a nie sponsorowanie całości. To wszystko zależy od przedsięwzięcia, co się chce zrobić.

Czy sponsorzy stawiają warunki?

Nie spotkałem się, żeby jakoś drastycznie ostro ingerowali w to, co ma być na scenie. Ale to co mówię, to są tylko moje doświadczenia.

Już 25 lat występuje Pan na tzw. deskach. Proszę przypomnieć, w jaki sposób został Pan aktorem i jak znalazł się Pan w Częstochowie.

Dziecięce marzenia są różne. Od przedszkolnych strażaków, rycerzy, policjantów. Wszystko zależało oczywiście od nauczycieli, którzy prowadzą takie czy inne przedmioty. Mieliśmy na przykład świetną panią od przyrody, mogę nawet nazwisko wymienić, pani Homa. Skąd się wziąłem w Częstochowie? Moje korzenie rodzinne są łódzko-warszawskie, moi rodzice przyjechali swojego czasu na Śląsk do pracy. Miałem to wielkie szczęście, że mój dom był artystyczny. Ojciec był, jest na emeryturze, aktorem lalkarzem, który przepracował x lat w Teatrze „Ateneum” w Katowicach, a mama była solistką Opery Śląskiej, o wspaniałej karierze. Więc mały Mareczek kiełkował na gruncie już spulchnionym przez rozmowę o kulturze. Nawet jeżeli myślałem o leśnictwie czy innych przyrodniczych sprawach, to gdzieś tam jakiś spektakl teatralny w szkole średniej, jeden drugi, i wyszła sprawa: a może, a nuż.... Zacząłem się przygotowywać. Zdawałem do szkoły teatralnej do Krakowa, nie udało się oczywiście. Prawdopodobnie bym spróbował drugi raz., bo myślałem, że tak trzeba, czułem taką potrzebę. Przeczytałem ogłoszenie o powstającym wtedy w Katowicach wydziale wokalnno-aktorskim przy Akademii Muzycznej. 1975 rok, zdaje się pierwszy wydział o tym profilu w Polsce. Pomyślałem: może spróbować, może to będzie coś takiego, co stworzy coś takiego, co się nazywa w sporcie kompletny zawodnik. Zawsze się z tego śmieję. Kompletny: ma wszystko, ręce, nogi, składa się ze wszystkiego? Użyję tego porównania, pomyślałem, że taki będzie kompletny aktor: będzie śpiewał i tańczył. To korzenie w Berliner Ansambel czy w Sztokholmie, gdzie aktorzy i grają w spektaklach dramatycznych i są wykorzystywani w spektaklach muzycznych. No i niestety, szybko się przekonałem,



że to jednak bardziej dryfuje w kierunku teatru stricte muzycznego i będąc po drugim roku zacząłem szukać kontaktu z Teatrem im. Wyspiańskiego w Katowicach, takie działania offowe, i już mnie teatr pochłoniął. Potem jeszcze rok w Tatrze Muzycznym, gdzie poszliśmy grupką ze szkoły, a później już odbiłem – osiem lat w Bielsku, i z Bielska do Częstochowy. 1989 rok, pan Tadeusz Kijański był tu dyrektorem. Pierwsza moja rola, to rola w „Kołacji na cztery ręce”, którą wspominam bardzo miło jako spektakl, no i „Zabawa w śmierć”. To były dwa duże przedstawienia, w których mogłem, mówiąc nieskromnie, zaistnieć na deskach Częstochowy. A potem następne sezony już szły. Z przerwą w Katowicach oczywiście.

Przerwa na granie w Katowicach wyniknęła z powodów nieartystycznych?

To specyfika tego zawodu, że ścierają się różne charaktery i postawy. Postanowiłem, że może trzeba troszeczkę odkurzyć swój umysł i stąd ta przygoda z teatrem im. Wyspiańskiego w Katowicach. A potem już powrót do teatru w Częstochowie, kiedy dyrektorem był pan Marek Perepeczko.

Co jakiś czas robi Pan sobie rodzaj oczyszczenia i podsumowania? Za czym właściwie Pan goni? W jakiej części zawodu czuje się Pan niedowartościowany?

Robię sobie taką łaźnię? Samo to wynika, może trochę niechęć. Przychodzą takie chwile, że człowiek zastanawia się, czy w prawo, w lewo czy do przodu. To nie jest podsumowanie, to raczej zastanowienie się, czy coś może mnie jeszcze spotkać, czy zmiana spowoduje, że we mnie coś się jeszcze zmieni. To też takie nasze frazesy teatralne: czy ktoś coś we mnie odkryje?

Pytałem o poszukiwania. Czy jest jakiś obszar zawodowy, w którym z takich czy innych powodów nie miał Pan w swoim mniemaniu wystarczającej szansy, jak to mówią, sprawdzić się.

Zawsze to powtarzam: czy to będzie ten teatr czy inny, człowiek jest jednym z trybów wielkiej maszyny teatralnej. Wiadomo, jeśli jakaś rola jest ciekawa i jeszcze z ciekawym reżyserem, to jest sympatycznie. Mogę powiedzieć tylko o pewnych tytułach, o których mogę myśleć z pewną tęsknotą, czy się zdarzą czy nie. W Bielsku w zasadzie grałem więcej komediowych ról, zdarzały się oczywiście i dramatyczne – był „Mazepa” i „Szklana menażeria” - to wszystko przystawało do młodzieńczego wieku. Jak tu przyszedłem, to zaczęło się z dość grubej rury - i „Ksiądz Marek”, i „Brat naszego Boga”, już nie mówię o „Dziadach”. To wszystko w jakiś sposób mnie wzbogaciło emocjonalnie i warsztatowo. Nie ukrywam, że „Jabłko”, w którym gram w tej chwili, jest też stopniem pewnych przewartościowań, innego spojrzenia. Podobno aktor, jak się starzeje, w odróżnieniu od kobiety aktorki, dojrzewa. Coś w tym jest. Nie zdarzyło mi się, ale może się jeszcze zdarzy, zagrać w Szekspirze, nigdy nie grałem w Dostojewskim, nigdy nie grałem w paru innych rzeczach.

A Czechow? Był „Wujaszek Wania”...

No tak. A jeszcze a propos marzeń. Pamiętam, anegdotycznie mówię, jak byłem jeszcze w Bielsku, to marzyło się o literaturze amerykańskiej. Tennessee Williams, Miller, amerykańska literatura dawała na owe lata – przypominam: lata 80. - taką prawdę. Ciężko było, to były dewizowe to sztuki, kosztowały i teatry bardzo się nie brały, ale te które miały pieniądze jakoś to regulowały. Kiedy otworzyło się wszystko, to nagle się okazało, że literatura amerykańska jest troszeczkę passe, że szukamy czegoś innego, że młodzi reżyserzy szukają czegoś innego. Chociaż oczywiście zdarzają się przypadki, że ktoś ma dobry pomysł typu „Śmierć komiwojażera” czy „Tramwaj zwany pożądaniem”. Można w tym znaleźć w dalszym ciągu sympatyczne, mądre rzeczy, niekoniecznie okraszone brutalizmem i fekaliami.

Odbiór „Jabłka” to chyba było zaskoczenie dla wszystkich. Dla aktorów i dla teatru. Trochę niespodziewany sukces. Czyja to zasługa?

Też się dziwię. Trochę znam historię tych spektakli w dwóch teatrach. Tomek Dutkiewicz, który był wtedy

dyrektorem w Bielsku, zrobił koprodukcję bielsko-rzeszowską i opowiadał, jakie miał problemy. Rzeszów podobno troszkę purytańsko przyjął spektakl, o dziwo. Można było się tego spodziewać raczej tutaj... A dlaczego sukces? To jest dobrze napisane. Na granicy, jak Dutkiewicz mówił, pewnego kiczu emocjonalnego. Ale jest o życiu, to jest pierwsza sprawa. Ja nie widziałem spektaklu bielsko-rzeszowskiego, chociaż słyszałem różne opinie. Jeśli o mnie chodzi, w tym spektaklu coś takiego się zrobiło, że zaistniało pewne bardzo mocne zbliżenie do rzeczywistości. Zauważyłem sam w sobie, że to w pewnych odruchach jest to bardzo bliskie mojej osobie, ja nie muszę wychodzić poza wiek, taka historia może się zdarzyć facetowi takiemu jak ja. Więc nagle zaczęło to bardzo blisko egzystować rzeczywistości: sprawa trójkąta, potem ten melodramatyczny wątek śmierci. To jest z jednej strony ekliwe, można bardzo łatwo przegiąć w jedną stronę lub w drugą. Co mnie najbardziej zdopinogowało do myślenia, że takie sztuki mają swoje znaczenie i powinny być grane? Wspomnę „Oskar i pani Róża”, mówiący o podobnych problemach. Kiedy spotkałem kobiety w średnim wieku, które powiedziały: panie Marku dziękujemy za ten spektakl. Pomijając sprawy artystyczne, powiedziały, że poszły zbadać piersi. Ja w tym momencie poczułem, że ten spektakl przeszedł jakby na inną stronę. Nie że coś się kończy, obejrzelśmy ekliwą historię, buzi-buzi. Myślę że nie jest to wyłącznie sprawa z pieprzykiem, że to spektakl dla dorosłych, bo bywały przypadki, że takie spektakle są i gdzieś tam umierają sobie bez echa. A to jest bardzo bliskie rzeczywistości, może to. Bielsko zagrało coś około trzydzieści razy w ciągu trzech sezonów, my w sezonie zagraliśmy 40 razy. Jak na taki spektakl, myślę, to jest bardzo przyzwoita liczba. Podobno zainteresował się tym autor, który żyje w Kanadzie. Nagle zobaczył, że jego tytuł grają gdzieś tam w Polsce, gdzieś tam w Częstochowie i cieszy się bardzo, bo słyszy głosy, że nie ma problemów z widownią. Oczywiście, ten spektakl nie jest grany 10 razy w miesiącu, czy 15, i chyba nie powinien być; natomiast widownia która przychodzi na ten spektakl - już wiemy - nie jest widownią przypadkową. Mam wrażenie, że teraz ogląda nas widownia, która czeka na „Jabłko”. To bardzo miłe.

A teraz „Tajemniczy ogród”...

To jest taki musical dla starszej młodzieży, myślę, że bardzo sympatyczny. Troszkę taki wiktoriański klimat, a sama opowieść jest bardzo mądra i piękna. Będą piosenki, będą tańce.

Jest więc Pan zawodnikiem kompletnym, umiającym zagrać, zaśpiewać, zatańczyć...

Komediantem - po prostu. Im więcej z siebie człowiek umie wykrzesać, tym lepiej.

Czy po 25 latach pracy zmienia się sposób patrzenia na społeczne przesłanie zawodu? Gdy był Pan młodym aktorem i zastanawiał się nad przyszłością, to bardziej Pan się widział w repertuarze lżejszym?

Nie zapominajmy, że kiedyś nie było takiego szaleństwa seriali i tego wszystkiego związanego z reklamą, co napędza koniunkturę dla młodego aktora, niekoniecznie czasami aktora. Aktor na etacie był bardziej ceniony, niż aktor spoza. Teraz troszkę się relacje odwróciły, aktor na etacie i ten, który jest wolny, który jeździ, potrafi dużo rzeczy chwycić żeby istnieć i zarabia pieniądze. No, powiem wprost. Mnie radowało w ogóle bycie w tym wszystkim. No, oczywiście, marzenia są, ale nigdy nie myślałem o przyszłowiowym Romeo. Z błogosławieństwem i dobrodziejstwem całego inwentarza czekałem na to, co ktoś może mi zaproponować, jak mnie widzi dyrektor czy reżyser. Zawsze się tak mówi: a co by chciał pan zagrać. A każdą następną rolę. Różnie w teatrach jest. Mówię o moich doświadczeniach. Byłoby idealnym, żeby reżyser, dyrektor czy ktoś jeszcze od kogo to zleży, mówił: mam Ixa, mam Igreka, mam panią Zet, to ja mogę zbudować pewną rzecz. A bardzo często albo kogoś brakuje albo nie ma pieniędzy na realizację albo są inne działania czy pomysły.

Niektórzy mówią, że stałe zatrudnienie dawało poczucie bezpieczeństwa, ale w sensie zawodowym dzisiaj się łatwiej pracuje, bo lepsza są środki techniczne, łatwiejszy jest kontakt z reżyserem, coś mu się nagra i wysła...





To nie jest tak do końca, że w tych zgrzebnych czasach było bezpieczeństwo. Nie myślę, że ktoś kto wtedy albo teraz pracuje w teatrze, może myśleć: ja mam ciepłko, tak. Te czasy były zgrzebne, ale jeśli ktoś znajduje frajdę w tym wszystkim co robi w teatrze, to czeka się na następną rolę. Cudowną sprawą jest pokoleniówka: móc spotykać się ze starszymi aktorami, którzy jeszcze pamiętają anegdoty, ich jest niestety coraz mniej, odchodzą do krainy wiecznych łowów. Pamiętam, że to było cudowne: człowiek siedział, słuchał, nie odzywał się. Ostatnie lata spędził w Bielsku Solski. Mała anegdota. Kiedyś uszyto Solskiemu garnitur na scenę z tego samego materiału, którym obity był fotel. I wielka awantura. Albo że restauracja była naprzeciw teatru i po spektaklu czy po premierze kelnerzy przez ulicę lecieli... Młody adept wchodził i mówił: Słucham, mistrzu. To może teraz śmiesznie brzmi, anachronicznie, ale to budowało pewną estymę zawodu i jednocześnie uczyło pokory. Pamiętam, jak raz czy drugi starszy aktor gdzieś tam mnie ściał i ja przyjmowałem to z pokorą.

Teraz młodzi się stawiają?

Trochę. Relacje się zmieniły. Mówię tu o swoich doświadczeniach, teraz łódzkich.

A element konkurencyjności w działaniach poza macierzystym teatrem?

Element konkurencyjności jest wpisany w zawód aktora, więc kto się chce w to bawić musi mieć świadomość, że będzie oceniany, porównywany. Bywają sympatyczne momenty. Jedzie na casting w obce miejsce i, o dziwo, mimo tej właśnie konkurencyjności aktorzy rozmawiają ze sobą. Na przykład przyjeżdżają do reklamy kawy - nie są zależni tylko od swojego talentu, wiadomo, że przewagę bierze to, jak się wygląda albo to, co w danym momencie jest tam potrzebne. Czasami decyduje chwila i szczegół.

To jest wpisane w ten zawód i to trzeba wiedzieć.

Marek Ślosarski to również aktor filmowy...

To traktuję z uśmiechem. Film „Tryumf ducha”, chodzi na kasetach. Ja nazywam to przygodami. Poza tym seriale. „Egzamin z życia”, „Święta wojna”, ostatnio „Odwroćni”. To są epizody, które są miłe.

Co to daje aktorowi teatralnemu?

Inny rodzaj skupienia. I doświadczenia jakby zupełnie innych reakcji, pewnej skromności, bardziej bycia niż odegrania. Chociaż teatr bardzo mocno ewoluuje teraz w kierunku takiego żyćka, nie zawsze dobrze publiczność to przyjmuje. Jeżeli mówimy o kameralnych rzeczach, to jak najbardziej tak, prawie parafilmowo. Mamy w naszym teatrze 400 miejsc, ale są teatry które mają 600 i 900 miejsc, patrz Opole. Stara szkoła mówiła: ten w pierwszym rzędzie co zapłacił 50 złotych i ten w ostatnim za 2,30 chce tak samo słyszeć, choć może gorzej widzi. Zdarzało się słynne wezwanie z widowni: głośniej! To jest dla mnie największy wstyd dla aktora, bo to jest to, co nazywamy podstawą zawodu. Bo to, czy ktoś ma więcej czy mniej do powiedzenia wewnątrz, to już inna rzecz, natomiast aktor to zawód - tancerz musi mieć mięśnie i musi być sprawny itd. - aktor to jest świadomość głosu, ciała i umiejętność tego wykorzystywania. Oczywiście wyobraźnia i umysł też.

Nie powinien się podierać technikę?

Odpowiem anegdotycznie. Swego czasu był tu śp. Michał Pawlicki, aktor. Miał w „Horsztyńskim” jubileusz, za dyrekcji Talara. Pan Talar kupił wtedy mikroporty, pierwsze w tym teatrze, to był chyba 1995 rok. No i była cała uroczystość. Dobry wieczór, dobry wieczór. Jubileusz 50-lecia pracy Michała Pawlickiego. Talar zaproponował: może chcesz mikrofon - i usłyszeliśmy: Państwo wybaczą, ale 50 lat na scenie obyłem się bez mikrofonu, więc nie będę go teraz używał. No, oczywiście są też muzyczne spektakle, silnie nagłośnione, więc wtedy raczej trzeba...

Tak w ogóle, to sprawia Pan wrażenie zadowolonego...

Tak? Zawsze mogłoby być lepiej. Ale myślę, że trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe...

Wydaje mi się, że zadowolenie to jedna z podstawowych motywacji dla aktora. Czy jest Pan też zadowolony z popularności?

Na pewno nie możemy się porównywać, co do skali tego zjawiska, z aktorami występującymi w serialach.

To rzeczywiście coś niesamowitego, wystarczy się na chwilę pojawić, w jednym odcinku i od razu człowiek jest rozpoznawalny. Miło jest, kiedy po jakimś czasie grania takich czy innych ról idzie się ulicą, a ktoś powie dzień dobry, uśmiechnie się. Nierzadko mam takie sytuacje - był czas że prowadziłem zajęcia z młodzieżą - jestem gdzieś i słyszę: a ja miałam z panem zajęcia. To jest miłe i takie troszkę nostalgiczne. To jest miłe. Pod warunkiem, że traktuje się to sympatycznie, nie popada w minoderię, megalomanię czy bufonadę. To mała, sympatyczna nagroda, że może coś dobrze zrobiłem, zostałem zaakceptowany. Ja też się uśmiecham.

Mieszka Pan w Częstochowie?

Tak. Żona jest z Łodzi. Mieszkamy sobie tutaj, córka studiuje w Krakowie, architekturę wewnątrz na ASP.

Nie aktorstwo?

Nie. W przedszkolu to jeszcze na jakieś tam wierszyki dawała się namówić. W szkole było już trochę dziwnie, bo panie nauczycielki myślały, że skoro to jest dziecko pana aktora, to umie i chce. Ona przychodziła z płaczem: tata, ratuj! Musiałem chodzić do szkoły i przepraszać panie profesorki i prosić, żeby zostawiły Matyldę w spokoju. Już wtedy lubiła rysować, teraz studiuje w Krakowie. To miłe, można pojechać i sobie pochodzić po rynku i powdychać atmosferkę Galicji.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał M. P. Rawinis



Fotografie Piotr Dłubak

Pięć lat Fotoklubu

W podłym nastroju wybierałem się na pierwsze w tym roku comiesięczne spotkanie Jurajskiego Oddziału Fotoklubu RP w Częstochowie. Powodem była fatalna, niezimowa aura, podczas gdy temat styczniowego konkursu brzmiał – „impresje zimowe”. Tymczasem, ku ogólnemu zaskoczeniu, kilkunastu fotografujących pokazało ponad 60 fotografii śnieżnych i słonecznych. Były na tyle dobre, że powstała z nich wystawa zaprezentowana w lutym w kawiarni Rue de Foche.

Następne comiesięczne prezentacje fotoklubowe także sypnęły urodzajem. W lutym tematem były „drzwi”, w marcu – „na dnie”, w kwietniu „fanta-

zje”, w maju – „maj”. Każdy z tematów zilustrowany został ponad pół setką fotografii, które pokazywały także nowoprzybyłe na spotkania osoby, często jeszcze gimnazjaliści i licealiści. Za każdym razem, zaraz po prezentacji konkursowej, punktowanej, wspólnie z autorami wybieraliśmy najlepsze fotki dla potrzeb ewentualnych przyszłych wystaw. Nie musiały długo czekać. W czasie częstochowskich Dni Książki w Miejskiej Galerii Sztuki pokazano zestaw „Fantazje”, także w maju do miejskich ośrodków kultury w Blachowni i Dobrodzieniu powędrowały kolejne tematy. Te nieplanowane wcześniej prezentacje są – moim zdaniem – nagrodami dla tych, którzy udanie łączą współpracę swych szarych komórek ze swoimi kamerami.

Od pierwszej wystawy częstochowskiego Fotoklubu przed pięcioma laty było wiele innych wystaw, wydawnictw i spektakularnych sukcesów w ogólnopolskich i międzynarodowych imprezach fotograficznych. Uzbierało się dość, aby wspominać przy małym jubileuszu ...

Janusz Mielczarek.



Fotografia Darka Gawrońskiego, pokazana w lutym, gdy zadany tematem były „drzwi”. Nie ma tu żadnej kombinacji komputerowej. Wszystko działa się naprawdę!

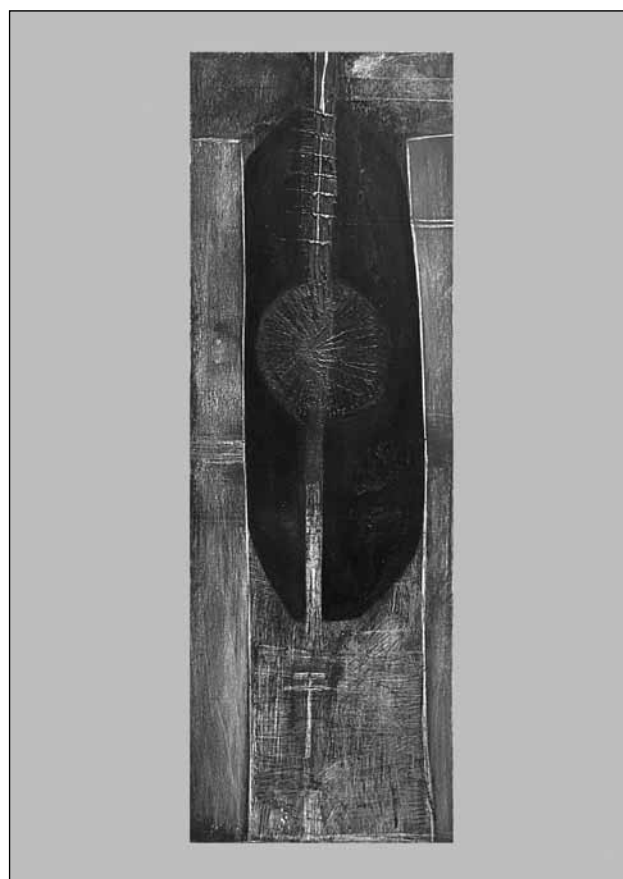
TRUCHCIKIEM PO GALERIACH

Miejska Galeria Sztuki kolejny raz zaprezentowała twórczość rzeźbiarską **Jerzego Kędziory**. Pomysły i plany artystyczne w różnych fazach rozwoju zostały zaaranżowane przez artystę błyskotliwie, choć trochę w stylu wolnym. Interesujący plakat Mieczysława Górowskiego oraz dobry, edytorsko przemyślany katalog ze świetnym tekstem Anny Maciejowskiej, dopełniły jubileusz artystyczny zasłużonego dla miasta twórcy. Rzeźbiarza o wielostronnych możliwościach kreacji, artysty nietuzinkowego, pomysłowego, mającego dystans do siebie i własnej twórczości.



„**Socrealizm**” to kolejna wystawa w MGS ze zbiorów paryskiego manszarda Piotra Dmochowskiego (41 prac malarzy z b. ZSRR) oraz Muzeum Zamojskich w Kozłowie (95 obrazów). Ekspozycja, na której wielu starszych wiekiem widzom robiło się „straszno”. Mimo ciekawego tematu, wystawa została spłaszczona i spłycona tylko do malarstwa. Wiele z pokazanych obrazów ma swoją ciekawą historię, ale o komunistycznych koneksjach polskich artystów już nikt nie chce pamiętać ...

Jakub Jakubowski - laureat II Ogólnopolskich Prezentacji Twórczości Młodych „Nadzieja” w r. 2006 – absolwent i pracownik Instytutu Plastyki AJD, pokazał w MGS swoje najnowsze kompozycje malarskie. Prace o wydłużonych formatach rozbudowanej fakturze i opalizującej delikatnymi czerwieniami nasyconej ciemnymi błękitami tonacji malarskiej – zaskakiwały wypracowanymi świetlistymi powierzchniami i mistycznymi skojarzeniami ze znakiem krzyża. Interesujący tekst do tej prezentacji – ciągle rozwijającego swój warsztat twórczy młodego artysty – napisał Adam Organisty.

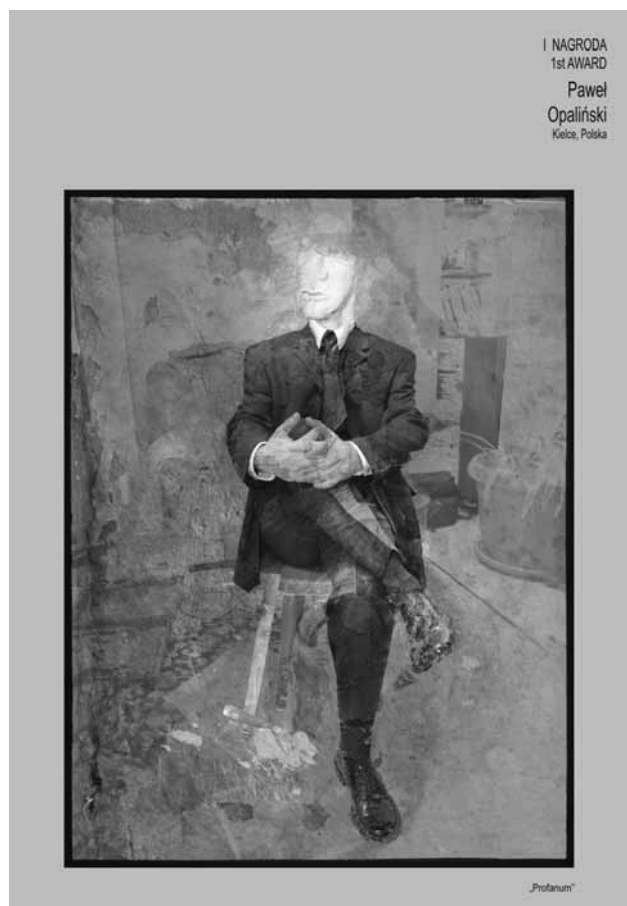


W ramach 17. Festiwalu Muzyki Sakralnej, w siedzibie OPK „Gaude Mater” zaprezentował malarstwo znakomity **Henryk Waniek**, twórca mający na koncie już 140 wystaw indywidualnych. Przez wiele lat artystycznie był związany ze Śląskiem, współtworzył działania grupy Oneiron. Jego malarskie prace emanują kosmiczną energią natury; natury której piękno ziemskich i nieziemskich form działa na naszą wyobraźnię, ale także odciska się swoistym pięknem na ludzkiej egzystencji. Każde przedstawienie malarskie Wańka stanowi pewną filozoficzną sentencję zlokalizowaną wokół natury świata.

PLASTYKA

Pod koniec kwietnia odbył się w Regionalnym Ośrodku Kultury wernisaż Międzynarodowego Konkursu Fotografii Cyfrowej „Cyberfoto”, którego pomysłodawcą i wodzirejem od pierwszej edycji jest Sławomir Jodłowski. Na X konkurs przysłało 678 prac 78 autorów - do wystawy zakwalifikowano 130 prac 47 autorów. I nagrodę przyznano Pawłowi Opalińskiemu z Kielc. Konkurs wspiera i współfinansuje Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wśród prezentowanych prac są również przedstawienia cyfrowe częstochowian: Sabiny Banaszkiwicz-Mroczy, Pawła Kanawki, Łukasza Kolmana, Piotra Mroczy, Roberta Połysa, Łukasza Urbanowicza. Wystawa interesująca. Warto pomyśleć o zmianie formy katalogu.

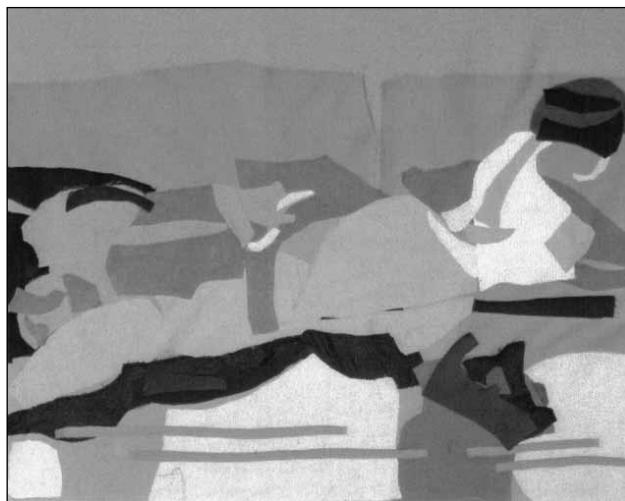


Wystawa „Korczak i jego dzieło” to również jedna z imprez „V Dni książki”. Szereg wspaniałych ilustracji do utworów Janusza Korczaka i poświęconych jego osobie. Wyśmienite prace Franka Maśluszaka i wielu innych. Wystawa interesująca, ale przygotowana niedbale.

Ciekawą wystawę zrealizowali w krakowskiej galerii „Szalom” na Kazimierzu częstochowscy twórcy **Tomasz Sętowski** i **Marek Adamusiński**, pod szyldem Muzeum Wyobraźni oraz Warsztatów Wyobraźni. Obaj zaprezentowali wielki kunszt artystyczny – Tomek w ciekawym zestawie prac malarskich, natomiast Marek w prezentacji najnowszej kolekcji wyrobów jubilerskich inspirowanych twórczością tego pierwszego. Wernisaż uświetnił barwny spektakl w wykonaniu aktorów teatrów krakowskich, ożywiając realizm magiczny z obrazów Sętowskiego. Artystyczny krakowski Kazimierz z uznaniem przyjął kreatorów z Częstochowy.



Galeria Cafe Skrzynka prezentuje prace malarskie studentki IV roku Instytutu Plastyki, **Izabeli Gęsiarz**, wykonane techniką kolażu z różnorodnych tkanin. Kompozycje o syntetycznym płaskim kolorze przywodzą skojarzenia z twórczością Teresy Pągowskiej i Marka Żuławskiego.



W Stajni Biały Borek w Biskupicach w kwietniu i maju Jacek Frąckiewicz przedstawił wystawę malarstwa pt. „Wio...”. Jak świadczy sam tytuł, obrazy poruszały tematykę wiejsko-prowincjonalną i, jak to u Jacka bywa, pokazywały jego zdroworozsądkowy, z przymrużeniem oka, filozoficzno-satyryczny światopogląd w dobrym ludycznym wydaniu.

Miejska Galeria Sztuki przedstawiła w maju, w ramach V Dni Książki „Słowo i obraz” – trzy wystawy fotograficzne. Pierwsza, najważniejsza również z naukowego punktu widzenia, to „Dawna fotografia tarzańska 1860-1939”. Wystawa ta dokumentuje zmiany zachodzące na Podhaku, Orawie i Spiszu w wymienionych latach. Pokazuje entuzjastów wspinaczki, turystyki narciarskiej i penetracji tatrzańskich jaskiń, myśliwych, wczasowiczów na łonie natury. Reprinty autentycznych fotografii wielu wybitnych fotografów, m.in. Meletiusza Dutkiewicza, Walerego Rzewuskiego, Eliasza Radzikowskiego, Hermana Vogla, Karola Divalda, Stanisława Bizańskiego, Mieczysława Karłowicza i innych zaciekawiają nas swoją światłocieniową wysmakowaną ekspresją, techniczną sprawnością, światłem zatrzymanym w chwili, która bezpowrotnie odeszła. Naukową stroną tej bardzo obszernej ekspozycji i jej przygotowaniem zajęli się Kazimierz Gajewski i Aleksander Żakowicz. Brawo obaj panowie!



Druga wystawa to kilkanaście fotogramów Jerzego Kosińskiego. Zdjęcia o różnorodnej tematyce – od kobiecego aktu, przez plener miejski, portret, do umownego reportażu - są dowodem na kreatywne możliwości autora „Malowanego ptaka” także w fotografii. Istnieje towarzyska legenda, rozpowszechniana przez samego Kosińskiego, że fotografował on również Halinę Poświatowską, która ponoć przez jakiś czas była nie tylko obiektem jego męskich zainteresowań, ale także jego modelką.

Trzecia wystawa, Jurajskiego Oddziału Fotoklubu Rzeczypospolitej pt. „Fantazje” została niestety źle przygotowana, wciśnięta w kąt. Na pewno kilka dobrych zdjęć, ale całość nie bardzo.

Marian Panek

Wędrowki po Kolekcji „Zachęty”

Jacek Łydzba – Dwie siostry

Rubryka ta wzięła się z chęci przybliżenia sztuki współczesnej naszego miasta.

Na pierwszy rzut wybrałem obraz Jacka Łydzby „Dwie siostry”. A to ze względu na jego atrakcyjny wyraz i motywy przedstawienia. Wartość obrazu polega także na wielowarstwowej symbolice jego ikonologii (zawartości treściowej). Przedstawia obejmujące się w serdecznym uścisku dziewczyny, będące już chyba młodymi kobietami. Mogą być one metaforą - okazanej właśnie - pełni uczuć. Z pewnością ich ładunek był gromadzony latami wspólnie dzielonych doświadczeń. Może być symbolem pojednania i pokonania sprzeczności, lub ikoną zgody po przyjacielskiej kłótni, czy najgłębszego zrównania w losie, co niekoniecznie musi znaczyć wspólnotę drogi (dalszej). Zapewne dlatego też w kalendarzu częstochowskiej „Zachęty” na rolę 2007 ilustruje on sierpień.

Obraz ten w istocie przedstawia dwie realne siostry, które artyście pozowały. Sztuka uwielbia oddawać piękno kobiet. Ale jeżeli to robi malarz dzisiaj, trudno nie doszukiwać się podtekstu feministycznego. W sposób najbardziej wysublimowany i zmysłowo uwodzicielski malowali kobiety: Vermer, Boucher, Lord Leighton, Sir Alma-Tadema, Siemirdzki, Żmurko i wielu wielu innych, szczególnie malarzy akademickich. Znalazło by się wśród nich podobne *siostrzane* motywy ikonograficzne.

Późnopostmodernistyczny czy wczesno-neomodernistyczny obraz Jacka Łydzby żarzy, emanuje ciepło postaci przy pewnym pobieżnym, szybkim i świadomie nieco nonszalanckim niedokończeniu (*non finito*). Co znaczy także, iż ma wyrazistą fakturę farby i ślady operowania pędzlem. Jeśli chodzi o zastosowanie walorów faktury i materii, to efekty takie wyzyskiwali już malarze barokowi. Vermer używał piasku, by wzmocnić efekt perspektywy powietrznej i klarowności koloru. Wyraźne „mięso” obrazu pokazywał Rembrandt. Ale powszechnie uważa się, że są to atrybuty malarstwa nowoczesnego i awangardowego. Po wojnie (drugiej) obserwujemy powszechność stosowania tej strategii w progresywnym nurcie malarstwa: art brut, malarstwo materii, malarstwo gestu, taszyzm, abstrakcja gorąca, dripping...

Zastosowana przez Jacka Łydzbę głównie ciemna czerwień, kontrastuje z bielą sukienek.

Czerwień wokół połączonej (braterskim?) objęciem pary i zamarkowana innym odcieniem obramująca je nisza, są elementami kobiecości i życia. W znaczeniu niszy – drzwi, portal, jaskinia u da Vinci – mieści się przejście, nowy byt, wgląd i inicjacja.

Możemy zapytać, czy przybliżony retorycznie obraz podejmuje się próby połączenia dwóch tradycji i manifestacji zjawisk: sensualnej z duchową, egzoterycznej z ezoteryczną, linearnej z chromatyczną, narracyjnej z postrzegającą, starej z rewolucyjną. Czy też - można się domyślać - sugeruje możliwą jedność tylko w świecie bez antynomii - i tak już homogenicznym. Zatem w jakiś sposób nie pełną.

I jak tu nie mieć przekonania o profetycznym (antycypacyjnym) charakterze sztuki - w kwietniu malarz został ojcem drugiej córki ...

Jacek Łydzba - rocznik 1966. Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Adiunkt na częstochowskiej Akademii im. Jana Długosza. „Dwie siostry” były pokazywane m.in. na Festiwalu Gwiazd w Gdańsku, w Pałacu Opatów w Oliwie (2006)

Piotr Głowacki



ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

KOŚCIÓLEK NA RYNKU

Kościółek Pana Jezusa Konającego, przy północnej pierzei Rynku Wieluńskiego, stoi w miejscu pierwotnej kaplicy i przytułku (szpitala) wzniesionych przez o. Władysława Nicińskiego, podzakrystiana z Jasnej Góry w II połowie XVIII wieku¹. Obecny kościół, neogotycki, został wybudowany w 1906 r. staraniem ks. Michała Lorentowicza, proboszcza parafii św. Barbary, a rozbudowany w 1925 r. przez ks. Piotra Waśkiewicza, pierwszego proboszcza parafii św. Rocha. Bowiem parafia, erygowana 21 czerwca 1925 r. przez biskupa wrocławskiego Stanisława Zdzitowieckiego i wydzielona w całości z parafii św. Barbary, miała początkowo wezwanie św. Rocha, od tytułu kościoła na cmentarzu. Jednak parafianie chętniej korzystali z małego kościółka Pana Jezusa Konającego na Rynku Wieluńskim.

Drugim proboszczem parafii, jeszcze pod wezwaniem św. Rocha, w latach wojny, był ks. Stanisław Ufniański. Zaś obecne wezwanie, Podwyższenia Krzyża Świętego, parafia przybrała w 1958 r., po wybudowaniu przez kolejnego proboszcza, ks. Antoniego Mietlińskiego, nowego kościoła na wzgórzu.

Kościółek na Rynku Wieluńskim jest murowany z cegły, prostokątny, salowy. Ma ładną, kanciastą sygnaturkę. Wyposażenie wnętrza neogotyckie. Ołtarz główny pochodzi z 1909 r., pozostałe elementy wykonano w 1941 r. Wnętrze tworzy jednorodną, skupioną i mocną w wyrazie całość. W ołtarzu głównym umieszczono duży ekspresyjny krucyfiks o charakterze barokowym, pod krzyżem figury Matki Bożej i św. Jana. Wnętrze kościoła odnowiono staraniem ks. Kazimierza Mielczarka, poprzednika obecnego proboszcza. Na swoje stulecie zaś, staraniem miasta, kościółek zo-

stał poddany pracom konserwatorskim; oczyszczono elewację, przywracając jej pierwotny wygląd.

Na terenie parafii św. Krzyża znajduje się miejsce wyjątkowe, o wielkim znaczeniu w historii Częstochowy i o niepowtarzalnym klimacie, w ciągu ostatnich dziesięcioleci, niestety, powoli ale uparcie zacieranym. To Rynek Wieluński i uliczki podjasnogórskie. Owo zacieranie nasiliło się od błyskawicznego, w ciągu jednej nocy przed pierwszą pielgrzymką Jana Pawła II, wyasfaltowania płyty Rynku, zamienienia jej na parking, likwidacji tradycyjnych targów końskich i warzywnych.

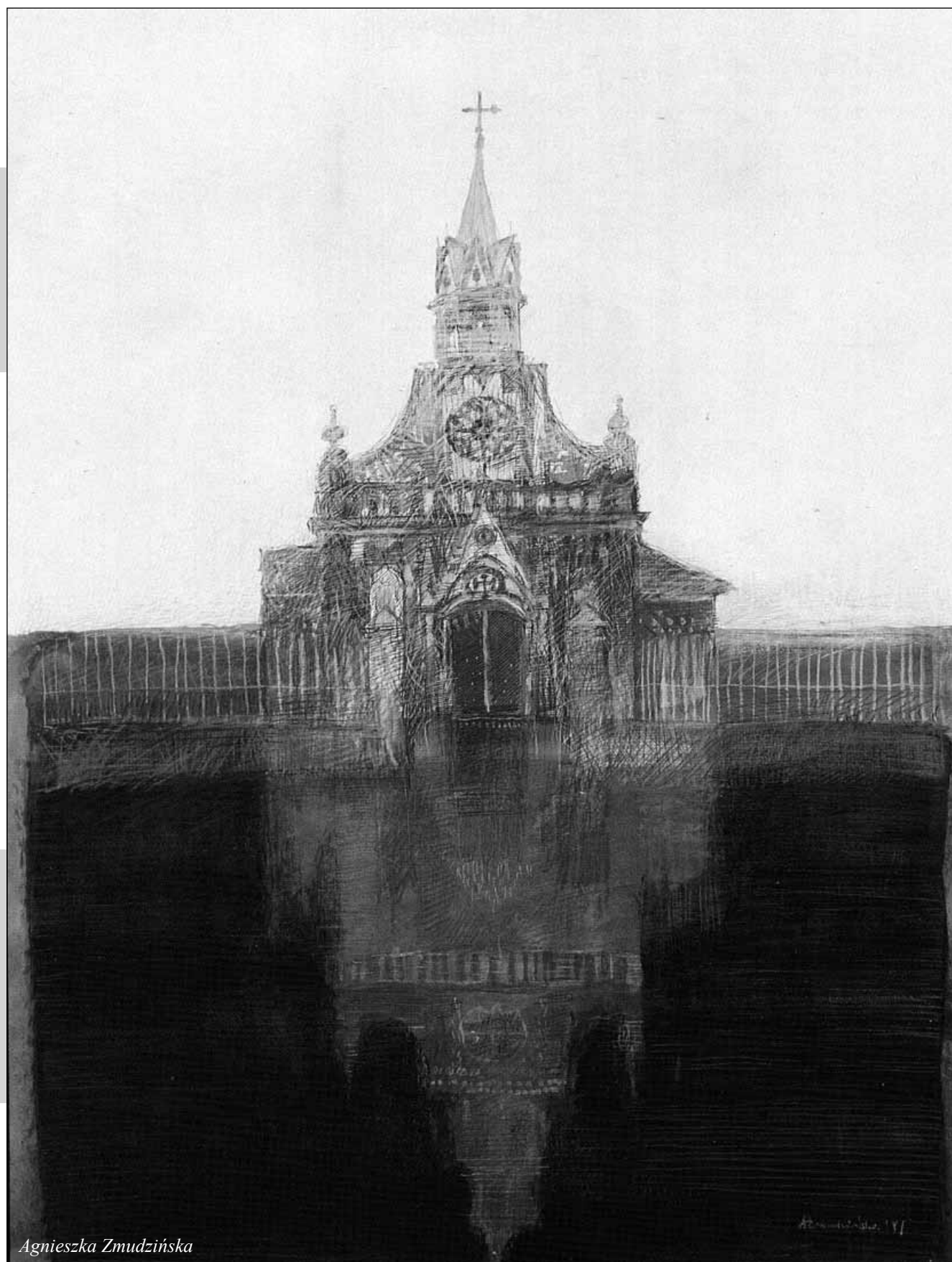
Jakiś czas temu wyburzono stary domek plebanii, tworząc wyrwę w pierzei Rynku. Zaś przy kościółku Pana Jezusa Konającego postawiono ni w pięć ni w dziewięć zadaszony monument na Rok Jubileuszowy 2000, z kiczowatą koroną i jarzeniówkami. Całkiem niedawno, na rogu ulicy Wieluńskiej i Rynku Wieluńskiego, wzniesiony został obiekt wprost skandaliczny – przykład, jak nie powinno się projektować, zwłaszcza w miejscach zabytkowych. A jego najbliższe otoczenie wybrukowano betonową kostką!

Właśnie ta okolica wiąże się z szumnie fetowanym w zeszłym roku jubileuszem lokacji Częstochowy przez Kazimierza Wielkiego. Rynek Wieluński i odchodzące od niego uliczki, które wspinają się ku klasztorowi, z jeszcze istniejącą starą zabudową, z nawierzchnią kocich łbów, przezierającą teraz tylko gdzieś pod asfaltu - to mogłaby być najpiękniejsza oprawa klejnotu, jakim jest Jasna Góra.



¹ Katalog zabytków sztuki. Miasto Częstochowa, część I, Stare i Nowe Miasto, Częstochówka i przedmieścia, pod redakcją Zofii Rozanow i Ewy Smulikowskiej, Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 1995

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Agnieszka Zmudzińska

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Zdzisław Zmudziński

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Teraz mam okazję spłacać dług wobec tych stron, tej parafii i szkoły. Nie tylko pisaniem. Tak się złożyło, że dzięki zrozumieniu ze strony Miejskiego Zarządu Dróg mogłem - wraz z zespołem do spraw estetyki - przyczynić się do tego, by ulica Sikorskiego, na odcinku między szkołą i kościołem, zyskała



stylowe oświetlenie. To ważne, bo miejsce jest w bezpośrednim sąsiedztwie zabytkowego Rynku Wieluńskiego. Również wspólnie z Elą Idczak – Łydzką, pełnomocnik prezydenta ds. estetyki miasta i Małgosią Kołodziejką, prezes oddziału SARP, broniliśmy - oby skutecznie – przedwojennego budynku mojej szkoły, dzieła wybitnego architekta, przed zakusami modernizatorów - ocieplaczy, którzy chcieli dorobić wiatrołapy, wszystko wyrównać styropianem oraz dokleić płytki w miejsce szlachetnej cegły klinkierowej. Doszliśmy, wspólnie z projektantem remontu, do najważniejszych rozwiązań. Czy będą zrealizowane przez odpowiednie miejskie czynniki?

Oby tylko władze miasta nie uległy podszeptom tych, którzy - nie mając za grosz wyczucia - najchętniej wyłożyliby Rynek Wieluński betonową lub granitową kostką i uszczęśliwili nas "małą architekturą",

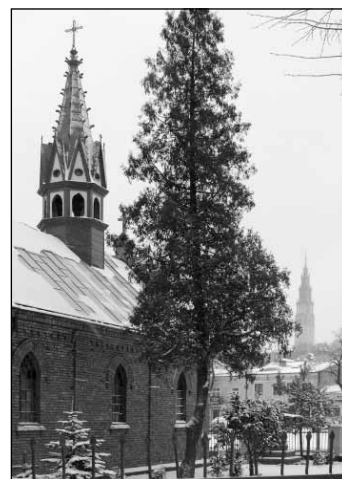


niwelując po drodze cały urok i niezwykle charakter miejsca. Dla dobrego rozwiązania problemów urbanistycznych i architektonicznych w innych fragmentach miasta z pewnością przydałyby się konkursy. Tu natomiast - sprawa jest jasna. Wystarczy odkryć historyczną nawierzchnię spod asfaltu. A dla wygody "pań w szpilkach" - dość wzdłuż i w poprzek rynku poprowadzić wąskie chodniki z płyt. Tak jak to zrobiono na brukowanym kocimi łbami zabytkowym rynku w hanzeatyckim Luneburgu. Może nawet - też wzorem choćby Luneburga czy Brukseli - wprowadzić znów targi warzywne i kwiatowe. Nie żadne tam kryte hale targowe! Rynek Wieluński mógłby się również stać wspaniałą sceną działań artystycznych, ulicznych teatrów, spektakli w rodzaju żywego muzeum, które Włosi pokazali nam w zeszłym roku². Wielką atrakcją dla częstochowian i turystów.

Twórzmy więc rynekowieluńskie lobby! Wspólnie z księdzem proboszczem od świętego Krzyża.

Władysław Ratusiński

Fot. Zbigniew Burda



² Le Arti per Via, muzeum wędrownie, gerupa folklorystyczna i teatr uliczny z Bassano del Grappa, Częstochowa, 22 sierpnia 2006 r.

Jakub M. Rawinis

Realistyczny bohater

Pewnego dnia pisarz Dygowski usiadł przy biurku. Wreszcie miał pomysł i zamierzał go zrealizować. Napisał opowiadanie. Ani krótkie, ani długie, w sam raz do publikacji w jakiejś antologii. Opowiadanie było realistyczne, mówiło o rzeczywistych problemach społeczeństwa. Szczególnie udał mu się bohater: postać krwista, życiowa, z rozbudowaną psychologią.

Po kilku dniach Dygowski skończył pisanie. Parę dni później jeszcze raz przejrzał opowiadanie, żeby nanieść poprawki. Zaniósł tekst do wydawnictwa, które akurat przygotowywało antologię. Redaktor obejrzał, splunął na bok, powiedział: „Dobra, bierzemy to”. Wkrótce antologia się ukazała. Prasa szybko się nią zajęła. Większość opowiadań została obrzucona najrozmaitszymi epitetami: niedobra proza, infantylne, pretensjonalne, kiedy wreszcie polscy pisarze przestaną bluzgać i zacząć pisać do rzeczy? Tylko opowiadanie Dygowskiego zostało ocenione pozytywnie. Około dziewięćdziesięciu procent recenzji stwierdzało, że bohater - kowalski - jest wprawdzie jakoś zbyt idealny jak na prawdopodobną postać, ale opowiadanie jako całość ujdzie w tłoku.

- Widocznie nad Kowalskim trzeba jeszcze popracować – zdecydował pisarz. – Napiszę powieść, tam już będzie taki, jak trzeba.

Początkowo problemy nastęrczała fabuła. Bohater był już gotowy, ale Dygowski nie wiedział, co z nim zrobić. Przecież facet nie może przez trzysta stron siedzieć i filozofować. Potem jednak znalazł odpowiednią intrygę i wprowadził w nią Kowalskiego. Przy okazji doszlifował postać, skoro była mało realistyczna. Może teraz nie będą się czepiać. Doprawdy, ci zatraceni mądrze potrafią wyciągnąć takie szczegóły, że normalny człowiek, choćby przez dziesięć minut czytał jedną i tę samą stronę, akurat nie zwróci uwagi.

Po dwóch miesiącach powieść była gotowa. W tym czasie pisarz zawarł kontrakt z innym wydawnictwem i do niego właśnie zaniósł swą najnowszą książkę. Co najważniejsze, szefowie oficyny wiedzieli, do czego służy promocja. Bez odpowiedniej reklamy wiele dobrych powieści przepadło na rynku i nikt o nich nie słyszał.

O najnowszym dziele Dygowskiego na szczęście stało się głośno. Trafiła do katalogów klubów wysiłkowych – co niekoniecznie mu się spodobało, bo miał się za prawdziwego twórcę – a także na łamy gazet codziennych, co odpowiadało mu bardziej, i do działu recenzji w czasopiśmie krytycznoliterackich, co sprawiło mu już największą radość. Recenzenci pisali ciepło o tej książce, lecz znowu zaczęły się pojawiać zarzuty dotyczące bohatera. Niby jest to postać z krwi i kości – twierdzili mądrze z redakcji – ale jakaś taka niezyciowa. Bo

czyż tak idealnych bohaterów spotyka się na co dzień? Ta nieskazitelność byłaby jeszcze usprawiedliwiona, gdyby Kowalski pełnił rolę orędownika jakiejś idei albo jawił się kryształowo czysty na tle ogólnego społecznego szamba. Tymczasem w świecie przedstawionym nie brakuje wad, ale nie zasługuje on jednak na potępienie; natomiast główny bohater, choć praktycznie ideał, jednocześnie jest całkiem zwyczajnym facetem.

Pisarzowi, gdy czytał recenzję, podobała się pierwsza część. Sam uważał, że świat przedstawiony udał mu się znakomicie. Druga część recenzji już mu tak nie przypadła do gustu. Przecież w tego gnojka Kowalskiego włożył tyle pracy, a facet jest nadal papierowy! Ze zdenerwowania literat przez równo godzinę chodził w tę i z powrotem po pokoju, a potem powiedział sobie, że od tej pory z Kowalskim koniec.

Aby zatrzeć niesmak po swym ostatnim wyrobie, zabrał się za kolejną powieść. Tym razem z innym bohaterem, a raczej bohaterką. Musiał jak najszybciej zapomnieć o poprzednim utworze, więc praca aż mu się paliła w rękach. Kiedy skończył, wydrukował powieść (pisał bowiem na komputerze) i przeczytał. Należał do tych pisarzy, którzy po napisaniu czytają jeszcze swoje utwory. Rzuciło mu się w oczy, że bohaterka jest wprawdzie przekonująca, środowisko i fabuła jak zwykle na poziomie, ale mimo wszystko czegoś brakuje. Zaczął przerabiać powieść. Postanowił dodać, dla zagęszczenia i zahartowania struktury, wątek poboczny związany z innym bohaterem. Jakoś tak się złożyło, że użył do tego celu Kowalskiego – miał przecież już gotową postać.

Przeróbki trwały blisko rok, a po ich zakończeniu książka poszła do wydawnictwa. Redaktor był sceptyczny: „Co, jeszcze jedna powieść z Kowalskim?” Dygowski bowiem tak długo cyzelował swoje najnowsze dzieło, że w wersji końcowej jednak to Kowalski stał się bohaterem głównym.

- Nie obraż się, ale to już jakaś paranoja się robi – powiedział mu kolega po piórze, gdy na pewnym wernisażu opychali się kanapkami z pastą z tuńczyka. – Coś ty, pisarz fantasy, żeby pisać trzy książki z tym samym chłopem?

Taka sugestia mocno wzburzyła Dygowskiego, bo uważał się za prawdziwego literata i nie chciał mieć nic wspólnego z fantastyką. Nie podpisał jednak kolede oczu, lecz zgodził się z nim, że to rzeczywiście lekko zalatuje szaleństwem.

Z mieszanymi uczuciami czytał recenzje. Z jednej strony pożył pozytywnych, a nawet euforycznych opinii o swoim dziele. Z drugiej zaś żywił skrytą nadzieję, że tym razem mądrze tak mu skopią tyłek, iż raz na zawsze przestanie pisać o Kowalskim i zacznie konstruować porządných bohaterów.

Przewidywania potwierdziły się częściowo i niezupełnie w ten sposób, w jaki się spodziewał. Kilku recenzentów napisało nawet, że to najbardziej dojrzała powieść Dygowskiego. Zdania co do bohatera były podzielone. Jedni, po staremu, twierdzili, że taki su-

perman to się nadaje do powieści produkcyjnej, a nie do porządnej książki. Jednak byli i tacy, którzy odnosili się do niego z sympatią, właściwie nie wiadomo, czym uzasadnioną. Zapoznawszy się z tymi poglądami, autor wpadł we wściekłość.

- Widział to kto?! – denerwował się. – Najpierw wymyślili, że bohater jest kryształowy, niepokalany i w ogóle umie wszystko, a jak nadałem mu jakieś cechy bardziej życiowe, to nagle się okazuje, że tamten był lepszy?! O, nie! Zaraz to jeszcze raz przeczytam i się przekonam, jak bardzo się mylili!

Okazało się jednak, że recenzenci byli w niewielkim błędzie. Kowalski po dawnemu promieniował dobrocią i umiał radzić sobie we wszelkich sytuacjach życiowych. Kiedy na przykład żona oświadczyła mu, że odchodzi do innego mężczyzny, to nie stracił głowy (jak to sobie pisarz z początku zamierzył) i nie siedział dwa tygodnie nad kieliszkiem, tylko spytał ją rzeczowo, czy tamten mieszka blisko jej miejsca pracy, żeby nie musiała daleko jeździć. Cholerny harcerzyk! A najgorsze jest to, że niektórzy czytelnicy (sprawdzał na forach internetowych) identyfikowali się z tą żalną postacią! Przecież on, Dygowski, zupełnie inaczej wyobrażał sobie bohatera! Poczekaj ty, już ja ci pokażę!

Gdy już naczytał się i nasłuchał opinii, które wprawiały go w taką wściekłość, zasiadł do pisania kolejnej powieści. Musiał dać nauczkę czytelnikom, krytykom, a przede wszystkim samemu Kowalskiemu. Trząskał dwadzieścia stron dziennie, w ciągu dnia zapominał o niektórych posiłkach. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem kołowało się w nim tyle weny. Tym razem nie ma pomijać: zrobi z bohatera skończonego łajdaka.

I tak w czwartej powieści Kowalski okazał się belkoczącym narkomanem, złodziejem i pedofilem. Finałowe rozdziały opisywały, jak bohater, tak wielbiony przez czytelników, brutalnie morduje wolontariuszkę pracującą w domu starców, powiesiwszy pierwszej jej siedmioletnią córkę, a wszystko po to, by przywłaszczyć kasę tej instytucji i kupić sobie złoty zegarek. Słowem, pisarz zrobił wszystko, by już nikt nigdy nie mógł uważać Kowalskiego za postać, z którą można się identyfikować i pisać o niej dobrze.

Nadszedł następny rok. Ku swemu nieopisanemu zaskoczeniu Dygowski został uhonorowany ważną nagrodą literacką za czwartą powieść z Kowalskim w roli głównej. Uroczystość była bardzo wystawna. Prezes kapituły odczytał uzasadnienie, które mówiło, że utwór stanowi niezwykłą panoramę współczesnej rzeczywistości. Zwycięskiemu autorowi wręczono statuetkę przedstawiającą coś niezbyt określonego. Potem był bankiet. Przy stole jakiś łysy mężczyzna zagadnął pisarza o śmiałą tezę, jaką postawił w nagrodzonej powieści: że w dzisiejszym zepsutym świecie tylko niegodziwiec może pozostać szlachetny. Dygowski omal się nie zakrzuszył, bo nie przypominał sobie, żeby coś takiego formułował.

W późniejszych dniach, tygodniach i miesiącach zorientował się jednak, że napisał dzieło przełomowe. Mnożyły się w gazetach już nie recenzje, ale bardziej szczegółowe opracowania, eseje, spojrzenia na Kowalskiego z perspektywy etycznej i filozoficznej. Ktoś zamierzał przenieść powieść na scenę. Pisarz czytał to wszystko i miał ochotę chodzić po ścianach. Jedni widzieli w bohaterze „szlachetnego łajdaka”, drudzy – człowieka beznaściejnie uwikłanego właściwie we wszystko.

Dygowski nie mógł uwierzyć, że ktoś z taką sympatią pisze o człowieku jednoznacznie złym. A może, robiąc z niego podleca, przesadził w drugą stronę? Trzeba było koniecznie zajrzeć do książki. Przeczytał ją dokładnie, zdanie po zdaniu, i nie mógł uwierzyć, że coś takiego spłodził. Przecież miała to być ostatnia szuja, a wyszło... że w sumie Kowalski kradł po to, żeby kupić dom dla zgrzybiałych rodziców, narkotyków tak naprawdę nie chciał brać, a z tym złotym zegarkiem stało się dlatego, że po obrabowaniu domu starców akurat był na haju. Poza tym wydanie było wydrukowane z dużą ilością błędów. Trzynastolatka, z którą bohater wstępował w stosunki intymne, okazała się, na skutek czeskiego błędu, mieć 31 lat. Co się zaś tyczy finałowej zbrodni – wolontariuszka przydybała Kowalskiego, gdy sama poszła okraść kasę domu starców, jej córka była rozpuszczoną gówniara, a pensjonariusze stanowili taką zgraję antypatycznych indywiduów, że czytelnikowi zupełnie nie było żal ich wszystkich.

Skąd się to wszystko wzięło? Dygowski doszedł do wniosku, że jakoś nie idzie mu opisywanie bezsensownych przestępstw i wszystkie czyny bohatera musiały mieć uzasadnienie. No i uzasadnił. To już chyba lepszy był Kowalski w poprzednim wcieleniu.

W takiej sytuacji pisarz mógł podjąć tylko jedną decyzję. Zabrał się zaraz do pisania kolejnej powieści. Wiedział, że nie będzie lepsza od poprzedniej ani chociaż tak samo dobra, ale nie miał wyjścia. Musiał zabić Kowalskiego: nie po to, by zdobyć poklask i pozytywne recenzje, ale po to, by pozbyć się przekłętą bohatera. Jakoż rzeczywiście, w przedostatnim rozdziale najnowszej powieści Kowalski został ugodzony łopatą, gdy przechodził przez plac budowy. Dygowski wreszcie uwolnił się od tego do wyrzygu dzielnego rycerza, który nawet kokę wciągał w sposób szlachetny i nie ze swojej winy.

Pewnego wieczoru pisarz poszedł wziąć prysznic. Rozebrał się, spostrzegł na pralce gazetę. Żona zostawiła. Przejrzał ją bez większego zainteresowania, aż natrafił na artykuł o swojej najnowszej książce. Poczul mściwą satysfakcję, czytając biadolenia dziennikarza, że postać Kowalskiego już nie jest tak wspaniała jak w poprzedniej powieści. Ostatnie jednak zdania zmroziły mu krew w żyłach: „W ostatnim rozdziale Kowalski, ciężko raniony łopatą, wieziony jest ambulansem. Powieść urywa się, gdy karetka staje na szpitalnym dziedzińcu. Czy to oznacza, że jego historia jeszcze się nie skończyła?”

Dygowski smutno spojrział w lustro.

- Kowalski, ty draniu – powiedział. – Przez ciebie schudłem ze dwadzieścia kilo.

III Nagroda w konkursie „Z Częstochową w tle”

KAWIARNIA

Laura Dusik (debiut)

LIST OTWARTY DO WSZYSTKICH
POLSKICH, ZAGRANICZNYCH I
EMIGRACYJNYCH PIJAKÓW, ŚWIRUSÓW,
WYDMIKUFLÓW, GĘBOCHLAJÓW,
ZŁOPACZY, TRONKÓWYCH,
NIE-WYLEWAJĄCYCH-ZA-KOŁNIERZ,
ZALEWAJĄCYCH ROBAKA,
CHODZĄCYCH-NA-RZESACH,
BIMBROWCÓW, ALKOHOOLIKÓW,
BIBOSZÓW, POTOPÓW, TROMBITÓW,
OCHLAPUSÓW I OLI-WIARZY!

Przyzywam ciebie, Euterpe,
przyzywam ciebie. Muzo miła,
ciebie, coś w gąszczu moich cierpień
do wiatru mnie nie wystawiła

K. I. Gałczyński

Kawka z mleczkiem czyli Dzień Pierwszy

Gdy czuję zimno, podążam za dźwiękiem ulicy.
Jak fan miejskiego hałasu brnę przez trzepoczące
jak rzęsy chodniki. Nieopodal mnie widzę poruszających się ludzi. Ich oczy są bezdomne, dusze są jakby na uwięzi rozkładającego się ciała. Nie mogę pomóc, cierpię myślą bezsilną. Skamieniałem tu. Stoję. Nie mam siły wracać do domu. Zostanę tu, we wrzasku zimy.

Zaczął padać śnieg, podąża teraz za pospiesznym życiem. Nie używa pociągu, tramwaju, busu. A dzieci, głodne gołębie zbierające ziarno, moczą się w lepkiej papce.

- Dzień dobry. Co podać?
- Poproszę kawę z mlekiem.
- Coś do kawy??
- A co może być?
- Rurka z kremem, właśnie przywieźli świeże.
- To ja poproszę.
- Zaraz podam.

Jest godzina 17:15. Wskazówka przemieszcza się ze stałą prędkością jednej sekundy. Za oknem śnieg, w radiu słychać wibrujący francuski głos, który śpiewa coś o niebie, za moment dostanę kawę z mlekiem i rurkę z kremem.

Czuję się jakbym był przyklejony do lodowatej szyby, duchowo jestem z moimi braćmi gdzieś w odległej galaktyce, ciałem jestem tu i teraz. Nic tylko żyć i nie umierać. Nic tylko pozostawać i zamykać się w sobie.

Jestem dziś niecierpliwy. Czekam na bliskiego dalekiego znajomego.

- Witaj Kostek. – usłyszałem podejrzenie znajomy głos za plecami. Wstałem i nie zwlekając postanowiłam zwlec się z krzesła i obrócić na półpalcach do drzwi, skąd znajomo brzmiący głos wyływał.

- I ty też witaj Ildek.

Między nami związku jako związku rozumianego przez rzeszę nie było. Było coś większego. Tak zwana bratnia więź, która nigdy nie była rozłączona

- Nic się nie zmieniłeś, stary dziadzie – powiedział Ildek z uroczą ironią.

- Ty zmieniłeś swoją ulubioną marynarkę. Ja swoją mam, widzisz, ta sama, w różowo zieloną kratę.

- Moją zjadły mole.

- Jak to się stało? – zaniemówiłem z rozpacz.

- Były wyjątkowo żarłoczne. Wyssały z niej całe życie. Została mi tylko ta kieszeń.

- To jedna z tych dwu kieszeni, w których mieliśmy nasze czarne chryzantemy. Dwie takie same. Dwa równie identyczne kwiaty, tylko cele podróży zupełnie inne i odległe.

- Tak, to jedna z tych kieszeni. Pomyślałem, że nie może jej dziś z nami zabraknąć.

- Dobrze zrobiłeś. Ocalając kieszeń, ocaliłeś serce, które pod nią się znajdowało. Ocaliłeś me serce od zapomnienia. ...

- Tak, ocaliłem...

- ...ocaliłeś...

- ...ocaliłem...

Chórem: od zapomnienia.

A za oknem usłyszeć można było kroki zimowych koni i stłumiony „pryyych”. Kaszkiety przechodniów jakby zapełniły się promykami otumań. Płateczki zaczynały pieścić każdy ruch, każde potknięcie, poślizgnięcie. Nic nie umykało uwadze.

A my wpatrzeni w fusy wróżyliśmy przyszłość. Po upływie kilku minut Ildek rzekł do mnie:

- Uda się?

- Jeśli się nie uda, poczekamy kolejne pięćdziesiąt lat. W tym zamkniętym pokoju.

- I znów ty będziesz tam, a ja tu, w rozdwojeniu.

- I cóż. Odczekamy swoje, ty upijesz się kolorem białym a ja czarnym i powrócimy znów.

- Taaak....

- Tk..

Po chwili założyliśmy na siebie skórzane kurtki, obwiązaliśmy wokół szyi szaliki w kratę, wcisnęliśmy w stare rękawiczki jeszcze starsze dłonie. Ukłoniliśmy się nisko, zamknęliśmy drzwi, dzwoneczek u drzwi zadzwonił i zniknęliśmy w mroku.

Sen

*To ta ulica nierządnic, ulica o nazwie złościca.
Daj, daj mi ten owoc, on da ci kopa w nut moc
Graj na mandolinie kocim łbem rąbnij w melinę
Zapomnij o świętym podwzgórze, zachłyśnij się
wódka z kurzu.*

Nie znam całości. Jak Obcy Nie Z Tego Świata podryguję słysząc kościelne dzwony. Oparte o słońce szpony palą się. Palą się! Palą się, palą, palą, płoną! Płoną, płoną. Udaje się im tylko zjeść ciało. Ale duszyczka słodka drga całowana przez wiatr. Nie zna tego uczucia, ociera się i ocierają się noc z dniem. Pokazują nadziejski spektakl. Tu noc, tam jeszcze dzień się tli. I płacze, i rozpacza, że to koniec, już koniec lata, z nocą nastaje zima. A ta zimna i czarna opływowa, jak podniebny pociąg tka na lazurze litery, a cmy grają niestrudżonym krzykiem obciętych skrzydeł koncert.

*To ta ulica nierządnic, ulica o nazwie złościca.
Daj, daj mi ten owoc, on da ci kopa w nut moc
Graj na mandolinie kocim łbem rąbnij w melinę...*

Dlaczego nie słyszą? Wsiadają z pociągów i gnają, stare rupiecie. Zbędne kocie łby już są zbędne. Jutro przyjedzie prezydentowa i każe zburzyć Jaskinie Z Czaszek.

I przylecą dzieci z zielonymi balonikami napomowanymi helem i zmiotą okruszki czaszek.

A potem przyjdzie Pan Bago. Wielki pan i powie: Precz, zamiatać te katusze!! Drogę wyłożyć frytkami, niech się dzieci pożywią. Ale już nic nie będzie, bo dzieci nie będzie, bo nie kochają ich matki. Bo świat nie jest stworzony dla dzieci. Świat jest ...?

Jak może istnieć coś, czego nie ma, co tak naprawdę... A to heca!! Dzieci „słyszycie“?

Zamkną Domy Dziecka, Przytułki, Żłobki i Przedszkole. Wskoczą z piwnic Klauni i będziemy śmiać się i rechotać, i tańczyć, i śpiewać. I przyjdzie do nas Słodka Pani z wieczora. Ukołysz nas główki, łapki, wypchane serduszka. I zaśniemy w ciszy i spokoju. Samochody ucichną, ucichnie świat. Będziemy spać, spać, spać. Śnić, lić, nić...

*Pod tygrysim niebem stąpa to niebo splecione z nut.
Uderz mnie, uderz tym tygrysem, teraz zabij mnie tu.*

*To ta ulica nierządnic stąpa niebem skarany
Tygrys rżnie głupa, mandolina jest trunkiem wylanym.*

Idę spać, idź Pani ode mnie, na dziś koniec historii. Przyjdź jutro i przynieś tygrysiu piwo.

A radio śpiewa i wydaje pieniądze na miłość.

Buleczka i maselko. Znaczą się Dzionek Drugi, bo wstało słoneczko

- Śpisz?
- Nie, a ty?
- Nie.
- Nie mogłem spać. Ty też nie?
- Ja też.
- Ktoś całą noc śpiewał, co nie?
- No.

- Jak można spać przy czymś takim?
- Nie wiem. Może dlatego nie spaliśmy, bo się nie dało.
- Tak myślisz?
- Myślę, że w tym sęk cały.
- Ja też.
- Boli mnie głowa.
- Mnie żołądek rwie.

Budziły nas przez całą noc śpiewy przekradające się długimi korytarzami. Śpiewy osób szczęśliwych. Możliwe, oni mogli być szczęśliwi. Mam nadzieję, że byli. Można być szczęśliwym z nieszczęścia. Można, kiedy ktoś daje ci cukierki. Swą mocą te cukierki sprawiają, że jesteś uśmiechnięty w sercu czujesz rozpacz.

- Ildek, i co dzisiaj robimy?
- Wybierzmy się na spacer.
- Jesteś znakomity.
- Skoro ja, to ty też.
- Uwielbiam cię.
- Ja wielbię i ciebie.

Spacerowaliśmy długo. Rozmowy o wszystkim i o niczym nie miały końca. W pewnym momencie Ildek powiedział do mnie:

- Wiesz, wstąpmy do Kawiarni.
- Masz ochotę na kawę?
- Nie, chciałbym napić się herbaty. I zjeść drożdżówkę.
- Zgadza się.
- Mam jeszcze jedną prośbę.
- Mianowicie?
- Pamiętasz, że w każdym mieście mieliśmy swoją ulubioną kawiarnię?
- Pamiętam. Jak mógłbym zapomnieć.
- Chcę, żeby kawiarnia „Kawiarnia” w tym miejscu była naszą ulubioną kawiarnią. Pracuje tam miła i młoda kelnerka, chcemy z nią porozmawiać.
- Oczywiście. Wstąpmy tam. Tym bardziej, że zbiera się na śnieg.
- Będzie zadymka.
- Wstąpmy napić się czerwonego wina.
- W sam raz jak na tak lodowaty czas.
- Wiatr coraz silniejszy.
- Pośpieszmy się, zanim przewidujący nie zajmą wszystkich miejsc.

Jak za starych dobrych czasów: słodki tytoń, pachnąca fajka i cierpkie wino. Czasem do wina udało się zdobyć ser żółty. Niesamowite czasy. Pasja zdobywania smakołyków, to było coś. Dla kilku plasterków wyjęta z życiorysu cała noc. Ale jakie było szczęście zagrać na mandolinie mając na twarzy wypieki po winie... mając w zanadru jeszcze kilka chwil do poranka. Czas namiętności i ogarniającej przestrzeni. Nigdy nie było lepiej. A jeszcze dodać do tego jesienny park. Powiew wiatru. Końskie kopyta i śpiew niosący się miastem ciężkim od świętych cegieł. A tu teraz pozostał ból wspomnień. Jakie to sentymentalne. Magiczne, dziwne, zamroczone, radosne.

Spojrzelismy się na siebie. Zaczęliśmy się śmiać. Jakż to był śmiech, ryczeliśmy ze śmiechu. Ludzie obok nas powstawali i też zaczęli się śmiać. I wszyscy się śmialiśmy. Włączyliśmy radio, leciały jakieś smutne pieśni bez sensu, a my przy nich tańczyliśmy, skacząc wszyscy razem w kółku! Wybiegliśmy na ulicę i zaczęliśmy głośno śpiewać:

*Tańcz, tańcz, tańcz. Skacz przy dzikim winie.
Wiruj sztucznym gazem, zakrzycz głośno nie!
Tańcz, tańcz, tańcz. Skacz przy dzikim winie
Wiruj sztucznym gazem, zakrzycz głośno nie!
Zsinił mózg od złości, szaleństwu każę iść precz!*

I tak nasze śpiewy unosiły się pod niebo, i jeszcze wyżej. Rzucaliśmy się w śnieg, chichotaliśmy.

Ujrzałem wtem zziębniętą kobietę z dzieckiem w dłoniach huśtającą się na karuzeli, miała czerwoną czapeczkę jak święty Mikołaj. Podszedłem do niej, a ona powiedziała:

- Zaopiekujesz się moja laleczką? Zaopiekuj się nią. Ona tak nie lubi zimna.

I czar prysnął. Zniknął śpiew, taniec i ludzie. Nie było nikogo. Zmrużyłem oczy, a gdy je otworzyłem, staliśmy na łące w czwórce. W czwórce, bo laleczka była martwa.

- O już cieplej. Aaa kotki dwa, szare bure obydwaj aaaa...

Nasze głowy! To boli. Nie dotykaj. Ała!

Zaopiekuj się laleczką... aaa, kotki dwa, spij laleczko ma, córeczko ma, aaaaa!

- Kostek?
- Co, co się stało?
- Zemdlałeś ze szczęścia chyba! Hehe!
- Miałem wizję!
- Jaką wizję. Gdzie, gdzie idziesz?
- Zostawcie mnie, muszę iść!
- Biegnij za nim! – krzyczała rosa martwa.

Wybiegłem na zewnątrz. Zacząłem biegać na placu i szukałem karuzeli.

- Kostek! Gdzie biegniesz, niczego tu nie ma!
- Szukam kobiety!
- Jakiej kobiety?! Zwariowałaś...

„Mikołaj Sflaczlak, Wiadomości, witam państwa. Sroga zima zbiera sute żniwa. Dzisiaj w programie o młodej dziewczynie, która została porzucona po tym jak wydała na świat potomstwo i zostawiona sama na mrozie na pastwę losu. Odnalazło ją dwóch mężczyzn w centrum miasta. Była przytulona do swojego dziecka, ...uuu. .u.u .uu. ha ha! Sensacja drodzy państwo wnet się zdarzyła! Ha, ha hi he He ha ah... Ratowała resztkami ciepła to małeństwo. Ależ dzielna dwudziestolatka z niej była. Ahh była! Hlip, hlip... Ależ jesteśmy dziś sentymentalni... To my, zawsze dla Państwa! Słuchać nas! Wr!

Powracamy jednak do spraw państwowych. W rządzie znów niepokoje..... Asais sjuiiysts dahsa .d,d .daqefafi aifa..a”

- Która jest godzina?

- Nie pytaj mnie o to.
- Idziemy do hoteliku.
- Idziemy.
- Kiedyś wydostaniemy się z bańki...
- Nie wiem, napijmy się.
- Napijmy się?
- Wypijmy świat z kieliszków.
- A wtedy?
- Co się stanie wtedy?
- Nic. Zaczniemy od początku.
- Zjedźmy szkło.
- Zjedźmy.
- A gdzie jesteśmy?
- W pokoiku numer trzysta trzy.
- Słucha nas ktoś?
- Kto wie...
- Może Pan Bago.
- Spytajmy go.
- Połączmy nasze kieliszki w górze...
- Panie Bago, jesteś tam.....
- Hello! Ziemia Do Kosmosu, zgłaszać się...
- Cisza. Może są jakieś zakłócenia. Pewnie tak.

Nie słyszy nas.

- Poczekajmy. Jeszcze kilka kieliszków i pewnie się zlituje.

- Miejmy nadzieje. Bo jak nie...
- Jak nie...
- To znaczy, że zostaliśmy sami.
- Jak szklanki tudzież kieliszki.
- Zjedźmy szkło.
- Wlejmy w organizm szkło.
- Eh
- Uh
- Gr
- Witam was w krainie, gdzie witają się wszyscy czule...

- Gdzie jest łazienka?

- Łazienka? Prosto, w lewo, prawo... nie wiem.... najdę kiedyś... za kilka lat łazienkę...

- Wrócisz do mnie Kruszynko?
- Chcesz, żebym powrócił?
- Chcę, jesteśmy jedno.
- Spij już.
- Śpię, a ty?
- No, ja też.
- No to. Dobranoc, do rana, bo jest już jutro.
- Dobradzień w takim wypadku.
- W takim wypadku Dobradzień.

Dzień trzeci

Na starym, przemoczonym tapczanie spał mężczyzna. Drzwi do pokoju były otwarte. Na korytarzu ktoś się spieszył, ktoś wioził kogoś na wózku. Ktoś rozwoził kolorowe pastylki, ktoś nalewał wodę.

Stary pisarz książek dla dzieci, Konstanty Ildefons Karłowicz wstał przy pomocy salowego, zgoniony przez pielęgniarkę. Konstanty zaczął mówić:

„Nasze myśli są całością. A to, co dzieje się poza nami, nie ma znaczenia. Nie ma to pojęcia wszystko... Zapominamy codziennie. A czy istnieje codziennie? Czy to trwamy? Co tak naprawdę znaczy my? Nie wiem. W takim razie nie wiemy. Kapitulujemy. Wzniesmy ręce do nieba i krzyczmy... a może tamten nas usłyszy. Dziwne to wszystko, ta niemoc spokrewniona z goryczą. Nie ma sensu, uderzamy głowami w ściany, a w ściany wbite są ogromne szpilki, które przeszywają myśli. Dotykają nas ślady przeszłości i w głowach cały ten czas mamy zamrożone mapy przeszłości. Ale my to wiemy, inni śpieszą gdzieś i ponaglają nogi. A my widząc harmider wystawiamy dusze naprzeciw, bo dręczy nas kłamstwo, śmiech, los nie niosący poprawy i nadziei w przyszłość. Nie mamy snów. Głowy wylały wszystkie myśli, zapełniamy je teraz kleikiem dla dzieci. Dotknij mnie, Przeszłości, a potem idź i nie powracaj już. Nie, nie chcę cię tu... znikaj już, bo moje oczy ślepną, a uszy milkną i nie czują dźwięku. Serce migocze jak nieme gwiazdy, nozdrza ukradł wiatr. ...”

- Panie Konstany, znów opowiada pan te swoje bajki, lepiej niech się pan położy, ledwie się pan trzyma na nogach.

- Czy ktoś dziś wspominał już o melancholii? Odeszła. My jak manekiny stoimy i całują nas różowe oddechy. Witam cię, Bago, w miejskim Babilonie.

- Jak myślisz, jaki kolor ma zapity mózg? Nie wiesz.

A nazywają cię Wszech ponad Wszech. A tu nic. Tylko pijesz ze mną co noc. A tak naprawdę nikt jesteś. Wielki Pan Nikt – rzekł Konstany Ildefons.

Pielegniarka wyszła, zamknęła drzwi.

Kostek wyciągnął niepołknięte leki, zbierane przez kilka ostatnich dni. Ildek wyciągnął zdobyty denaturat i włączył radio.

Kostek połknął tabletki, Ildek przepił napojem.

Radio zagrało na cześć wspomnień „Sous Le Ciel de Paris” i zabrzmiała po raz ostatni Edith a częstochowskie niebo na fioletowo rozblęskło się i tańczyło w rytm zimnej nadchodzącej po raz ostatni.

Zapomnij szept tęsknego poranka

Nie pytaj dlaczego jest tak

Rano Bago uwolnił kanarka

A teraz zaśpiewa ci w takt

Swym własnym krzykiem uwolniłeś me serce z za krat

Laura Dusik – rocznik 1988, tegoroczna maturzystka VII LO im. Mikołaja Kopernika w Częstochowie. Zagrała na deskach Teatru im. Adama Mickiewicza w sztuce „Pamięć wody” małą Mery (reż. Justyna Celesta). Występuje w młodzieżowym teatrze Trójkąt, który zrealizował spektakle „Szeba”, „Ostatni Taniec Szarlatanów” (reż. Adam Łoniewski) i wiele innych. Spektakl „Szeba” był grany na Międzynarodowym Kongresie Żydów - Częstochowian w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie. Interesuje się tym, co jest interesujące.

Anna Chowska

LISTY DO***

Witaj. Piszę, bo zastanawiam się, po co mi fundujesz te obiecanki-cacanki? Te słówka niewinne, choć chwytliwe, niepotrzebne ale prowokujące, niby nic nieznaczące ale mają być prorokujące? Po co ta zabawa w ciuciubabkę? Dawno z niej wyrosłam i nie chcę już sprawdzać jej skutków. Tak, posłużyłam się wobec Ciebie małą prowokacją, by przekonać się, czy mam rację i czy umiem przewidywać. No i szybciej, niż myślałam moim oczom ukazała się w pełnej krasie Twoja hipokryzja i asekurantstwo. Kłamstwo, zwodzenie i tchórzostwo. Kluczenie i wiara w moją kobiecą naiwność. Zostaw mnie, proszę, w spokoju.

Nie budź mnie ze starannie przez ostatnie lata budowanego letargu. Nie budź mnie, daj mi żyć zadowoleniem z tego, co czynię z dobrej woli, co należy do moich powinności, obowiązków, do świadomie zbudowanego acz kruchej świata złudzeń i iluzji. Złudzeń, że jest dobrze, lepiej być nie może, a cieszyć się trzeba każdym dniem, deszczowym czy słonecznym. Że już nie czas na marzenia o innym, lepszym, „młodszym” życiu, bo i wiek dojrzały, i powaga oraz rozwaga obowiązują.

Nie budź mnie, nie wywołuj schizofrenii pragnienia czegoś, czego nie ma, być nie powinno, choć być może. Bo to, co być może, to nie to, co prawdziwie mogłoby cieszyć i zadowalać, ale co stanowiłoby znów jakąś połowiczną złudę szczęścia.

Nie budź mnie, bo z takim trudem zasnęłam, pokonując upiory głęboko osadzonych, wrośniętych jak perz marzeń, zasypując uprzednio pragnienie potrzeb wygenerowanych przez gatunek homo sapiens. Nie budź mnie, choć tak naprawdę bardzo chcę się obudzić, uczłowieczyć, sprawdzić czy jeszcze potrafię czuć jak szekspirowska Julia. Ten orzeźwiający powiew miłości, emocji z tym związanych, tych drżeń serca, mętnych myśli, bezrozumnych zachowań, odpływania krwi z głowy do stóp, poczucia szczęścia jeszcze nienazwanego, ale już będącego szczęściem.

Nie oszukuj mnie, proszę, mówiąc o potrzebie dialogu, żalu za dłuższą przerwą w rozmowie, nie czaruj męskością co to wszystko przeskoczy, nawet kompleksy wykluczy. Nie bierz pod szpic zgranych schematów o potrzebie rozmowy, która pod pretekstem wymiany myśli rychło ma zabłądzić w rejony od dialogu bardzo odległe. Nie obiecuj, „pomocy” w ducha podtrzymaniu, bo od razu okaże się, jak krótkie nóżki ma to niewinne kłamstwo.

Przecież doskonale wiesz, że nie uznaję asekurantów, nie szanuję kłamców, nie akceptuję hipokryzji. Jeśli masz odwagę podpuszczać, tokować, zapewniać, to miej odwagę przewidywać skutki takiego działania, więc przede wszystkim podejmij dekalogową próbę „nie rób drugiemu...”

Zostaw mnie, proszę, w spokoju, bo ja już niczego nie chcę. Moje życie zatoczyło krąg i się skończyło. Teraz jest tylko trwanie do zatrzymania zegara, a stare zegary źle znoszą silne wstrząsy. Zapewniam Cię, że osiągnięcie tego stanu rzeczy, wymagało ode mnie całego szeregu psychologicznych zabiegów wyciszania, karczowania, zabijania.

Nie budź mnie zatem, nie sprawdzaj swej siły rażenia, która mogłaby być brzemienna w skutkach. Miej nade mną litość...

Klara

Aleksander Wierny

MECZ

Na Jasną Górę przybywają każdego roku z różnych stron świata miliony pielgrzymów. Klasztor jest sławny dzięki cudotwórczej ikonie Matki Boskiej. Ukraść ją, dostał albo znalazł setki lat temu gdzieś na Rusi Władysław Opolczyk i przywiózł do sanktuarium na wzgórzu.

Tubylcy jak ja, nie znajdują w potokach pątników niczego wzniosłego. Żadnej metafizyki. Jeżeli pielgrzymi mieli wpływ na nasze życie, to raczej przypadkowo, rykoszetem.

Miałem piętnaście lat, członkowie mojej siedmioosobowej drużyny byli w tym samym wieku, niektórzy nawet młodszy. Goście z Italii, którzy wyzwalali nas na futbolowy pojedynek, przeważali doświadczeniem, bo mieli średnio nie mniej, niż lat osiemnaście. Byli Włochami, więc mieli też przewagę psychologiczną, bo kluby z tego kraju zawsze są w czołówce europejskiej. Jeśli nie Juventus, to Milan, a jeżeli i te dwie potęgi zawiódą, nagle pokazuje się światu jakiś genialny nowicjusz, jak Sampdoria, albo Lecce. W odwodzie jest wiecznie niespełniony, lecz zawsze groźny Inter. Włosi mają w swoim dorobku tytuły mistrzów świata. Gracz z Italii tylko dzięki pochodzeniu budzi zawsze i u wszystkich respekt. Nawet zawodnik – pielgrzym.

Nie traciliśmy jednak ducha, bo miejscem pojedynku miało być boisko na zapleczu szkoły podstawowej numer sześć przy ulicy Krakowskiej. Byliśmy pewni, że w takich warunkach Włosi jeszcze nigdy nie grali. Pomysłodawca placu doszedł najprawdopodobniej do wniosku, że młodzi piłkarze nie muszą się zmagać na nawierzchni trawiastej, to byłoby zbyt oczywiste i trywialne. Nie, prawdziwym wyzwaniem dla każdego nieletniego sportowca jest – tak zapewne myślał ów bezimienny konstruktor – rozegranie meczu na boisku wysypanym żużlem. Ileż wspaniałych ran można odnieść po każdym upadku, których podczas piłkarskiego meczu nigdy nie brakuje. Jak nieprawdopodobnie głęboko może wnikać w skórę żużlowy brud. Nawierzchnia ta miała jeszcze jedną męczącą cechę, ale o niej za chwilę.

Swojej szansy upatrywaliśmy porównaniu fizycznych walorów obydwu drużyn. Włosi, mimo że całkiem młodzi, byli już obciążeni dość sporą nadwagą. Ustępowali nam także wzrostem, więc gdy mecz się rozpoczął, zebrane wokół boiska dziewczyny, na ogół przychylnie gościom z zagranicy, a już szczególnie, czego nigdy nie potrafiłem zrozumieć, przybyszom z Półwyspu Apenińskiego, zamilkły skonfundowane. Na tle makaroniarzy byliśmy piękni, smukli i zgrabni.

Włosi, niestety, dryblowali jak natchnieni i panowali nad piłką jak Brazylijczycy, więc pierwszą, dwudziestominutową połowę wygrali cztery do jednego.

Ale pod koniec tej części meczu boisko zaczęło ujawniać tajemnicę, którą znaliśmy doskonale, a której Włosi mieli zaznać po raz pierwszy. W palącym sierpniowym słońcu, w Częstochowie, która od trzech tygodni nie została obda-

rowana łaską deszczu, nad placem gry z wolna unosił się duszący woal żużlowego pyłu i biegającym w spiekocie zawodnikom odbierał oddech. Najpierw słabli ci, którzy mieli już za sobą kilkuletnie doświadczenie tytoniowego nałogu, a takich zawodników w drużynie przeciwnika było znacznie więcej. Poza tym najwcześniej słabości ulegali gracze z najgorszą kondycją. W tej dyscyplinie palma pierwszeństwa także należała do naszych otyłych rywali. Po zmianie bramek wyszliśmy na boisko pełni animuszu.

I rzeczywiście, entuzjazm w połączeniu z duszącym kurzem pomógł, bo od razu zaczęliśmy odrabiać straty. Dłuższe i szczuplejsze nogi niosły nas swobodnie między krępyimi i smagłymi ciałami zdyszanych Włochów. Wbijaliśmy bramkę za bramką i tylko z rzadka techniczny kunszt naszych przeciwników pozwalał im się odgryźć wymęczonym golem. Mecz dobiegał końca, remisowaliśmy siedem do siedmiu.

Zazwyczaj grałem z tyłu, inicjowałem akcje, podawałem z głębi pola najbardziej wysuniętym zawodnikom i przyjmowałem ataki przeciwników. Pod koniec meczu zmęczenie i emocje sprawiły jednak, że dyscyplina taktyczna poszła w kąć i zaszarżowałem. Minałem dwóch smagłych przeciwników, kolejny zdołał wybić piłkę poza boisko. Stanałem na polu karnym i czekałem na dośrodkowanie z rzutu różnego. Piłka zmierzała dokładnie w kierunku mojej głowy. Wybiłem się wysoko nad małymi, grubymi przeciwnikami, pochyliłem się nieco i uderzyłem futbolówkę tak, żeby wpadła do bramki tuż pod poprzeczką. Zabrakło mi precyzji. Piłka odbiła się najpierw od mojej twarzy, pokrywając ją szalenie makijażem brudu, potem od poprzeczki, uderzyła w ziemię i wyszła w pole.

Mecz dobiegł końca. Rozpętało się piekło. W gęstej zawieszynie pyłu wydzielaliśmy się na Włochów, oni odpłacali nam równie głośnym jazgotem, doprawionym przesadną, południową gestykulacją. Nie było jasne, czy piłka pełnym obwodem przekroczyła linię bramkową. Interpretowaliśmy niewyraźne ślady na żużlu w korzystny dla nas sposób. Włoscy zawodnicy w równie naturalny sposób zaklinali się na zdrowie matek i cnotę sióstr, że gola jednak nie było. Moja twarz była czarna, bo pył z piłki przyłgnął do niej grubą warstwą. Wyglądałem jak diabeł z dziecięcych wyobrażeń i lęków.

Rozstaliśmy się z gośćmi z Italii w gniewie. Ani my nie umieliśmy udowodnić swoich racji, ani oni nie potrafili znaleźć rozstrzygającego argumentu. Dziewczyny uniosły się patriotyzmem i poszły z nami, choć później chyba żałowały. Następnego dnia, 15 sierpnia, Włosi wyjechali tuż po głównej, świątecznej mszy, odprawionej dla pielgrzymów na jasnogórskich błoniach.

Zabrakło okazji, żeby zakopać wojenny topór. Do dziś nie wiem, czy tamtego upalnego popołudnia po moim strzale padła decydująca o zwycięstwie bramka. Nigdy już potem nie mogłem być niczego pewien, bo przecież co miałem na swoją obronę? Ulotne ślady w suchym pyłe i wątlą wiarę, że racja jest jednak po mojej stronie. Dzieciństwo skończyło się tym nagłym wzlotem, gdy wyskakiwałem do piłki z twarzą jeszcze czystą i jasną i zawisałem w powietrzu z głową wysoko, wysoko nad ziemią i nad głowami innych. To zdarzyło się tylko raz, jeden jedyny raz, a potem spadłem, potem już tylko piekło, czarny makijaż dorosłości.

PAMIĘĆ CHWIL WAŻNYCH

Halina Poświatowska?
Jest dla mnie
legendą, jakby nigdy
nie istniała, chociaż
muszę wiedzieć, że była.
Tadeusz Gierzyński

Halina Poświatowska, doskonała częstochowska poetka i utalentowana prozatorka, 9 maja 2007 roku obchodziłaby 72. urodziny. Niestety, zmarła bardzo młodo. Żyła tylko 32 lata. Gdy miała dziesięć lat, zachorowała na anginę, która przerodziła się w zapalenie stawów, a później w ciężką chorobę serca. Długie tygodnie i miesiące spędziła w łóżku. Przebywała w szpitalach i klinikach Krakowa, Warszawy, Poznania. Walczyła o każdy dzień istnienia. W „Opowieści dla przyjaciela” pisała: „Kocham życie ... śmierć zawsze była blisko mnie, zbyt blisko...”.

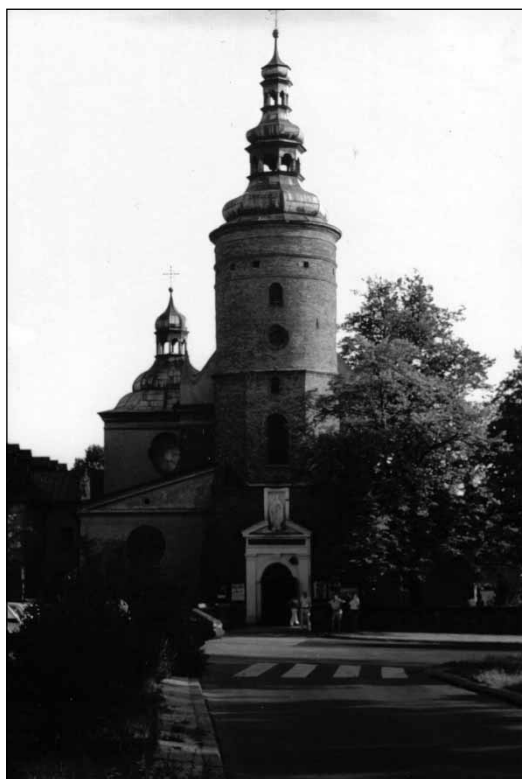
Poświatowska zapisała się w naszej pamięci nie tylko jako wybitna poetka, lecz również jako osoba wyjątkowa, ciekawa, niezwykła. Poznanie biografii autorki „Dnia dzisiejszego” pozwala łatwiej zrozumieć jej twórczość. Zapraszam wszystkich miłośników poezji do odwiedzenia miejsc związanych z poetką.

Barbara Szymańska
(zdjęcia z prywatnego archiwum)

9 maja 1935 roku przy ul. 7 Kamienic 17, w pobliżu Jasnej Góry przysła na świat Helena Myga (póź-



niejsza Halina Poświatowska), najstarsza córka Feliksa i Stanisławy z Ziębów. Siedemdziesiąt lat później, w dniu urodzin Poetki odsłonięto tablicę na domu, w którym się urodziła. Autorem tablicy z wizerunkiem Poświatowskiej i fragmentem Jej wiersza: *żyje się tylko chwilę /a czas – jest przezroczystą perłą/ wypełnioną oddechem* jest artysta plastyk prof. Jerzy Sztuka.



Kościół św. Barbary. Tutaj 27 sierpnia 1935 roku została ochrzczona Helena Myga (oficjalnej zmiany imienia na Halina dokonała w 1961 roku). Rodzicami chrzestnymi byli Kazimierz Myga i Anna Roman



Budynek przy Al. Najświętszej Maryi Panny 4. W czasie okupacji mieszkanie na parterze zajmowała rodzina Mygów. W styczniu 1945 roku Halina zachorowała na niebezpieczną anginę. Od tej chwili rozpoczęła się walka o zdrowie i życie dziewczynki



Dom przy ul. Jasnogórskiej 23 w Częstochowie, w którym dziesięcioletnia Halina zamieszkała wraz z rodzicami. Stąd, po latach, wyjechała do Stanów Zjednoczonych, a później do Krakowa. Obecnie Muzeum Częstochowskie urządziło w odrestaurowanym budynku Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej



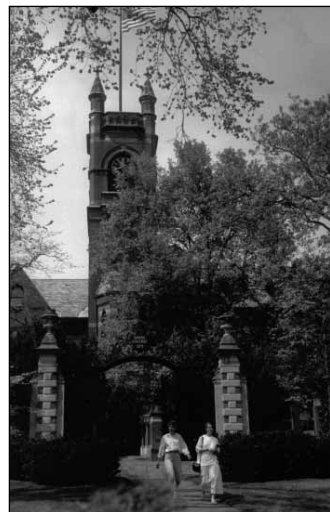
Podczas pobytu w Nowym Jorku Poświatowska mieszkała w International House, mieszczącym się przy Riverside Drive 500. (Fot. Tadeusz Chabrowski)



Hotel Europejski w Krakowie. W hotelu tym 23 marca 1956 roku zmarł nagle Adolf Ryszard Poświatowski, mąż poetki. Miał 26 lat



Dom Literatów przy ul. Krupniczej 22 w Krakowie, w którym w 1962 roku zamieszkała Poświatowska (pierwsze piętro). Rok wcześniej powróciła ze Stanów Zjednoczonych i podjęła studia na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego



Smith College w Northampton w stanie Massachusetts – żeńska szkoła słynąca z wysokiego poziomu nauczania. To tutaj 24 września 1959 roku Halina rozpoczęła naukę. Studiowała filozofię, logikę, języki obce

Instytut Gruźlicy przy ul. Płockiej 26 w Warszawie. Tutaj 3 października 1967 roku Poświatowska poddała się drugiej operacji serca. Zmarła 11 października



Grób Haliny Poświatowskiej na cmentarzu św. Rocha w Częstochowie



W 1960 roku poetka uczestniczyła w letnich kursach na Columbia University w Nowym Jorku. (Fot. Tadeusz Chabrowski)



POEZJA

MAŁGORZATA IŻYŃSKA

(debiut)

grzesznicy

nie ma nas świętych
jezusków - panienek
my
to tylko ludziska
pijacy na rogu
i królowy niemłode
sobą zachwycone
czekające na księcia
z przekrzywioną koroną

w studni

zakazane podwórka
zapach wilgoci
mokrego bruku
stęchłych myśli
te same drzwi
to wejście i wyjście
dzień dobry
do widzenia
po prostu się nie mieszczą

światło przez szyby
ucieka w atmosferę
z zadartą głową
wyliczam
ciemne okna
wyczuwam w kamieniach
tyfus i cholere
elektryczne myśli
próbują się wydostać

Poranne marzenie

budzę rano przy tobie
cały pachnący miłością
patrzę na ciebie ty nie wiesz
że jesteś moją wolnością

dotykam cię ty znikasz
całuję a ty odpływasz
pytam gdzie teraz jesteś
bo pragnę byś zawsze tu była

twoje ciało bez wstydu
moje wypełnia oddechem
ciebie wykradam po cichu
nie nazwał bym tego grzechem

dotykam cię ty znikasz...

Małgorzata Iżyńska. Częstochowianka z dziada pradziada, wychowana na Starym Rakowie. Absolwentka LO im. H. Sienkiewicza oraz stołecznej uczelni - trzech kierunków ekonomicznych (wybranych przypadkiem, skończonych sukcesem). Aktualnie urzędniczka w urzędzie miejskim. „Poranne marzenie” to piosenka, do której muzykę skomponował Janusz „Yanina” Iwański

JUSTYNA SIKORSKA

Postscriptum

żeby była jasność
zostanę tu gdzie jestem
choćby na końcu świata
nie zmienię nic
i będzie wolna wola
i będzie ptak osobno
niezaklatkowany

żeby się stało co się ma stać
o resztę zmartwień nie trzeba
żeby woda pozostała mokra
i suchy piach
będziemy pięcioma palcami naprawiać i lepić
będziemy bawić się w Indian bo już nie żyją
może nikt nie przejaskrawi nieba
może maki pozostaną czerwone
wszakże niewielkim haustem masowe pochłania jednostkowe
oby się zakztusiło
oby się zachłysnęło
oby...

wielkie moralne ekrany grożą wskazującym palcem
gdzieś między wojną gangów a programem myśliwskim
bądź dobra
dobra mówię
bądź pokorna
pokora ciąży na moich powiekach

jesteśmy na chwilę a taki tu bałagan
tyle zniszczeń
są tacy którzy sarkają patosem z podniesionym nosem
są tacy którzy piszą śmierć skrótem
z kropką na końcu

[styczeń 2007]

Cicha zero przez nieskończoność

na Cichej diabeł mówi dzień dobry
wiatr tutaj nie sięga
i nikt nie unosi liści w sinobladał dal
pies ze zdrową nogą nawet nie zagląda
nie ma rąk co otwierają okna

na Cichej zasypiają wyludnione domy
prosto z serca baśniowego miasteczka
stukają bezwiednie kołatki
kłaniają się długie balkony
mokrej jesieni co zabłądziła
i stoi na jawie samotna

[2006]

Justyna Sikorska – studentka Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Debiutowała w krakowskiej gazecie naukowej „Konspekt”, publikuje w internecie. Realizuje się także w wywiadach i pracach naukowych.

Odmitologizowany erotyzm w Sanbenito

WIESŁAW WYSZYŃSKI

o debiutanckim tomiku wierszy

Ireneusza K. Korpyśia

Ireneusz K. Korpyś, rocznik 1982, debiutował w naszym piśmie w 2004 r. Miło nam donieść, że ukazał się jego debiutancki tomik wierszy pt. „Pocztówki z Częstochowy”. Książka wyszła dzięki pomocy finansowej Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Częstochowie, co nie dziwi, bo Autor był kilkakrotnie laureatem konkursów organizowanych przez CARA.

Kilka słów o poecie. Urodził się w Janowie k. Częstochowy, mieszka w Złotym Potoku. Studiuje filozofię i religioznawstwo, teologię, a także zarządzanie i marketing. Jest członkiem Polskiego Tow. Historycznego i Janowskiego Klubu Literackiego. Należy do najzdolniejszych poetów młodego pokolenia, jacy pojawili się w ostatnich latach w regionie.

W przedmowie do zbioru Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz napisał: „Ireneusz K. Korpyś zdążył już wypracować swoją własną dykcję liryczną, oryginalną i rozpoznawalną. Nawet pobieżna lektura jego wierszy daje możliwość wyodrębnienia elementów owej dykcji.” I słusznie! Zgadza się z Sidorem, jak to się mówi, w całej rozciągłości. Mam jednak pewne uwagi co do wyboru, redakcji, nie mówiąc o stronie edytorskiej książki. Ale o tym później.

Tomik składa się z 49 wierszy zgrupowanych w 8 cyklach. Pierwsze trzy: „Nie pożądanie”, „Kilka słów o relacjach” i „Między łóżkiem a podłogą”, dotyczą sfery erotycznej i tzw. relacji damsko-męskich.

Gorzka jest miłość podmiotu lirycznego, często wręcz trywialna, jak w wierszu „6 lat później” (s. 14):

*piętnaście minut
i papieros w jej ustach
opuściła sukienkę
nawet nie poprawiła włosów
pozostałem
z połamaną trawą...*

Poeta odczuwa lęk przed kobietami, choć im sprzyja i współczuje, to jednak przydaje im charakter modliszki. „Biologia partnerstwa” (s. 24):

*mężczyzna który kocha
jest dokładnie przeżuty*

*kęś po kęsie
jej receptory
badają walory smakowe partnera*

A wiadomo, gdy mężczyzna traci głowę, staje się bezwolny, obronę ma za nic. Zatem:

*pierwszy zostaje pożarty
centralny ośrodek nerwowy*

Cel wszakże uświęca środki:

*każda kobieta wie że miłość
przyniesie jej
nowe doznania erotyczne
i nabrzmiąły brzuch*

I co? Po chłopie? Gdzie tam! Teraz on jej pokaże! Odegra się w imię solidarności i plemników. „Tristan i Izolda” (s. 31):

*twarz pokryta zmarszczkami
niczym nie przypominała
jeszcze niedawnej urody
oczy przysłonięte thustymi włosami*

Bo jak ma znaleźć czas (a i pewnie pieniądze) na fryzjera, gdy musi pilnować domowych porządków, dzieci, gotować obiady swemu panu i władcy, który codziennie zmęczony po pracy

*namiętnie obcował z telewizorem
i przyrastał do fotela*

pomimo, że:

*wciąż dzieci płakały
i ona
wciśnięta w kąt
a oczy gasły wymywane bólem*

Poeta jest również wyczulony na przedwczesną inicjację seksualną młodzieży i sięganie po używki. „Lekcja w gimnazjum” (s. 30):

*wypala drugiego papierosa (...)
odprowadziła milczeniem kochanka do drzwi
(...)
zdążyła na pierwszą lekcję historii*

Jest pełny współczucia dla dziewczynek, spacerujących poboczami autostrad. „Pocztówka z zagranicznej pracy” (s. 29):

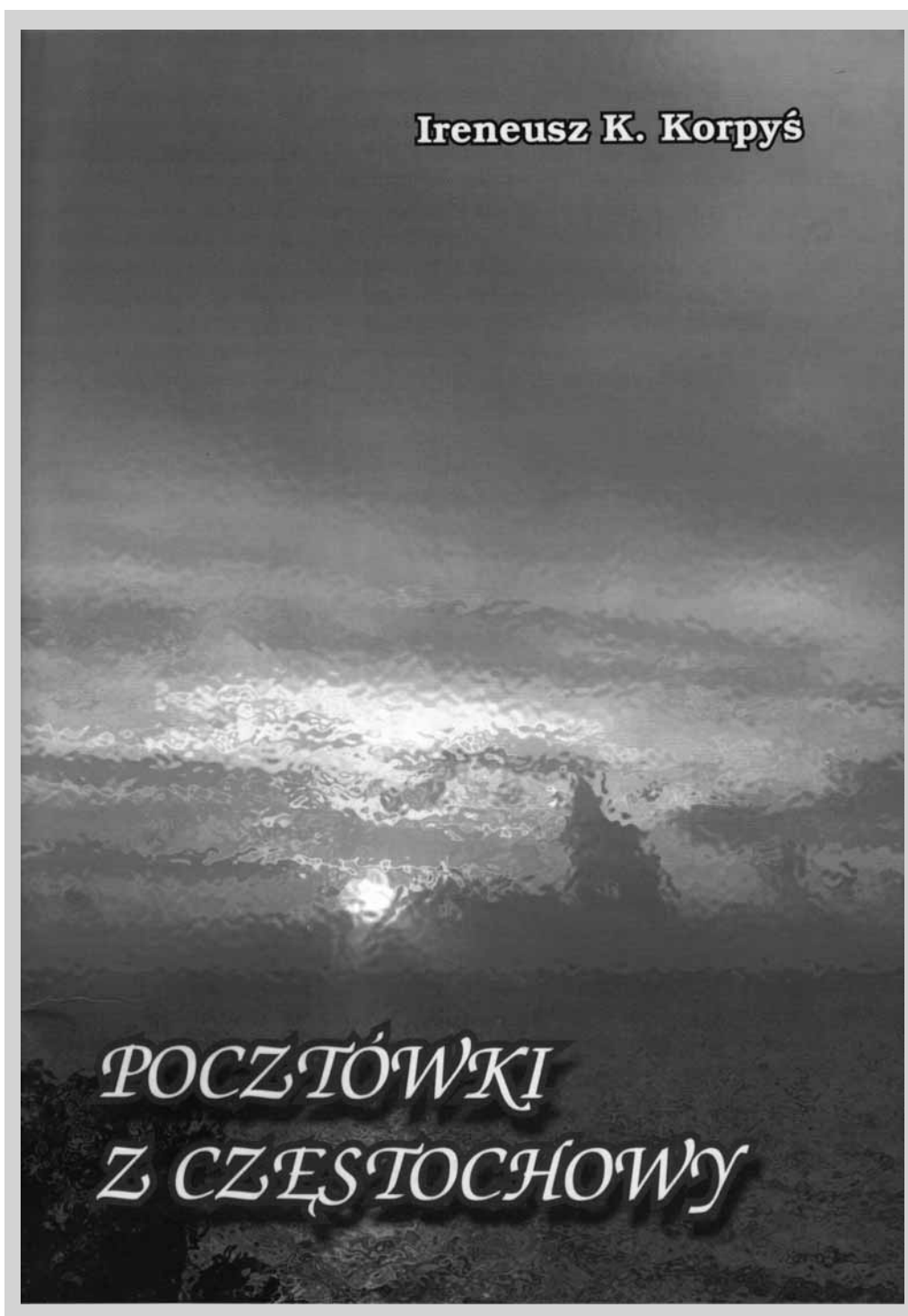
POEZJA

Co mi się nie podoba? Ostatnio obserwuję wśród młodych poetów manierę zawierania tytułów swoich utworów w cudzysłów. Tak jest również w przypadku I. K. Korpysia. Podobnie jest z nazbyt częstą przemiennością szyków. Edytorsko książkę wydano niestarannie, spięto ją niechlujnie zszywkami. Niestety, sam poeta również nie ustrzegł się błędów, redagując zbiór. Albowiem tomik jest nierówny. Od wierszy bardzo dobrych, świeżych i niebanalnych, po bliskie grafomanii, z których należało zrezygnować.

No tak. A może to ja się mylę? Niedawno, w cotygodniowym dodatku „Dziennika” pt. „Europa”, ukazał się wywiad z Tomaszem Venclovą, gdzie zastanawiano się m.in. nad destrukcyjnym oddziaływaniem demokracji na sztukę w ogóle, a w szczególności na poezję. I kto jest w tej sytuacji władny oceniać czyjeś rzemiosło? Venclova widzi w tym „katastrofę” i gorzko konstatuje za jednym z litewskich poetów: „W demokracji nie tylko zwiększa się ilość grafomanii, ale pogarsza się jej jakość. Dziś widać wyraźnie, że ilość grafomanii jest ogromna i na tym tle bardzo trudno wyróżnić rzeczy naprawdę zasługujące na uwagę... Wierzę jednak głęboko, że kultura zawsze znajdzie jakieś wyjście, chociaż ja w tej chwili niepełnie je widzę...”

Jeśli było mi dane wypowiedzieć się o tomiku Ireneusza K. Korpysia, to mogę stwierdzić, że młody poeta to „kulturowe wyjście” znalazł i na uwagę zasługuje, a jego debiut książkowy, mimo mankamentów edytorskich i merytorycznych, oceniam jako dobry.

W. Wyszynski



FOTOGRAFIA z HISTORYJKĄ

Janusz Mielczarek

Chłopcy z legendy

Mało prawdopodobne, aby tamtego wiosennego popołudnia 1973 roku przyszło komukolwiek do głowy, że na częstochowskim stadionie „Włókniarza” ogląda polską reprezentację w piłce nożnej, która wkrótce świecić będzie największym blaskiem w historii tej dyscypliny sportu. Dowiedzieliśmy się o tym rok później, w czasie Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej '1974, jakie odbyły się w ówczesnej RFN.

Dlatego warto przypomnieć, że wiosną 1973 roku reprezentacja Polski, złożona głównie z zawodników, którzy później przeszli do legendy, rozegrała w Częstochowie zwycięski mecz z drużyną Rumunii. Na stadionie „Włókniarza” wystąpili wówczas m.in. Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach, Kazimierz Dejna, Henryk Gadocha, Jan Domarski, Władysław Żmuda, Paweł Janas.

Tak się złożyło, że część meczów polskiej drużyny rozgrywanych w czasie pamiętnych mistrzostw 1974 roku oglądałem w Pradze, w gościnie u zaprzyjaźnionych Czechów. Gospodarze cierpieli bardzo z powodu niepowodzenia ich reprezentacji, naszej kibicowali umiarkowanie. Przed spotkaniem z Włochami mi współczuli mi serdecznie, że kończy się piękny



Grzegorz Lato przed polem bramkowym przeciwnika, w głębi partner ze słynnego duetu - Andrzej Szarmach

sen kibica. Po wspólnym obejrzeniu meczu – Polska wygrała 2:1 – najpierw zaniemówili, a potem popłynęła dużo bardzo dobrego piwa...

Parę tygodni temu dostaliśmy prezent - wspólnie z Ukrainą zorganizujemy Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej w roku 2012. Czy podzielone społeczeństwo poddało zadaniom na tak poważną skalę? A może mistrzostwa staną się tak bardzo potrzebną motywacją do szerokich wspólnych działań? Tak czy owak, miejmy nadzieję, że ta gigantyczna europejska impreza przysłuży się nie tylko polskiej kopanej, ale nam wszystkim.



Prezentacja drużyn przed meczem z Rumunią

SENTYMENTY

Zbislaw Janikowski

WYŚCIG POKOJU

Maj, pełnia wiosny, młoda bujna zieleń. Majowe palące słońce, majowe przymrozki, zimne deszcze ze śniegiem na „zimnych ogrodnikach” – czas Wyścigu Pokoju, czas w którym cała Polska żyła w wyścigowym amoku.

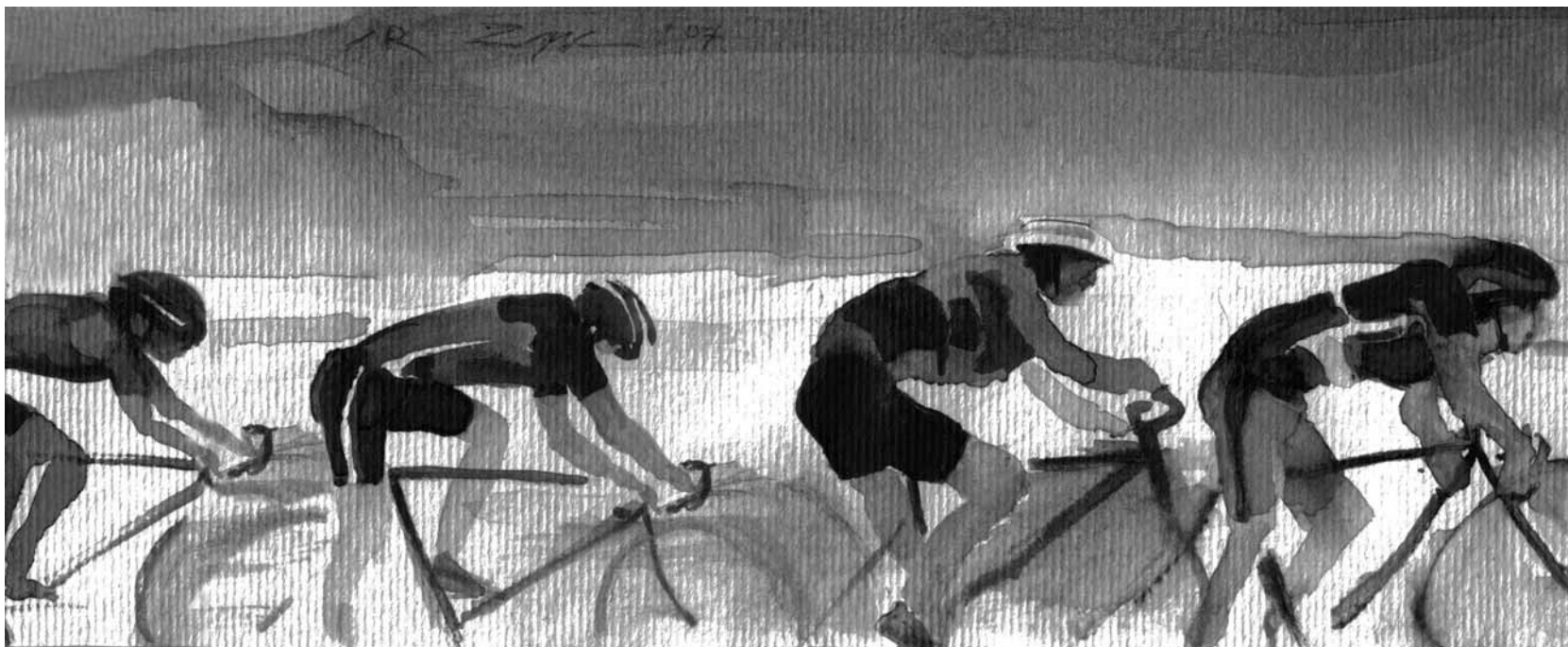
Nasze miasto należało do tych szczęśliwych, leżących na tradycyjnej trasie z Warszawy do Pragi lub odwrotnie. Nawet przy późniejszych zmianach wyścig niemal zawsze zahaczał o Częstochowę, ba miasto doczekało się etapu. Największy urok miały te najdawniejsze, pierwsze wyścigi. Ich trasa wiodła nieodmiennie Warszawską i Krakowską (a przez kilka lat nawet Stalinogrodzką), z nieodłącznym lotnym finiszem na wysokości kościoła Św. Zygmunta.

Wydarzenie to poprzedzała gorąca atmosfera towarzysząca wyścigowi. Prasa z jednodniowym opóźnieniem informowała o przebiegu, nawet „Trybuna Ludu” – organizator wyścigu - w swoim drugim, krajowym a nie stołecznym wydaniu, pisała o przedwczorajszych wydarzeniach. Jedyne nośnikiem wyścigowych wiadomości pozostawało radio, a i to

w wyniku cenzurowania - relacjonowało zdarzenia z kilkuminutowym opóźnieniem. O tej mistyfikacji można się było przekonać tylko na miejscu, kiedy relacja z pasjonującej rozgrywki na lotnym finiszu szła na antenie, było już po, kolarze zdążyli już odjechać daleko.

Wyścigowych wiadomości słuchał kto żyw, zawieszona na słupach wielkie głośniki miejskiego radiowęzła transmitowały wydarzenia. Głośniki oblegał zawsze tłum ciekawych, żądnych najnowszych wiadomości kibiców i zwykłych przechodniów. Miłośnicy i entuzjaści przeżywali sukcesy i niepowodzenia „naszych”, współczuli pechowcom, a porażki swoich ulubieńców przyjmowali ze smutkiem a nawet wściekłością.

Ale gdy przychodził dzień przejazdu, na trasę pędził kto mógł. Władze panowały nad tą spon-tanicznością, poszczególne szkoły, w których na ten czas trzeba było zawiesić lekcje, podążały odpowiednio wcześniej na wyznaczone stanowiska, z fabryk, w których trwał nieustający wyścig pracy, wysyłano skromne delegacje rekrutujące się oczywiście z przodowników pracy, mobilizowano wszystkie orkiestry dęte, żołnierzy z miejscowej jednostki, strażaków, gremialnie uczestniczyły wszelkiego rodzaju władze, urzędy, komitety. Prywatnie każdy, kto mógł i miał ochotę brał udział



w tym świeckim odpuscie, w cenie były znajome okna a nawet dachy przy trasie przejazdu, że o drzewach nie wspomnę.

Dzień wyścigu najlepiej przyjmowano w szkołach, bo jak można było odpytywać nieprzytomnych z podniecenia uczniów, nie wypadało w tym dniu organizować klasówek; nawet palacze papierosów, zwalczani na co dzień bezlitośnie przez ciało pedagogiczne, mieli dzień ulgi.

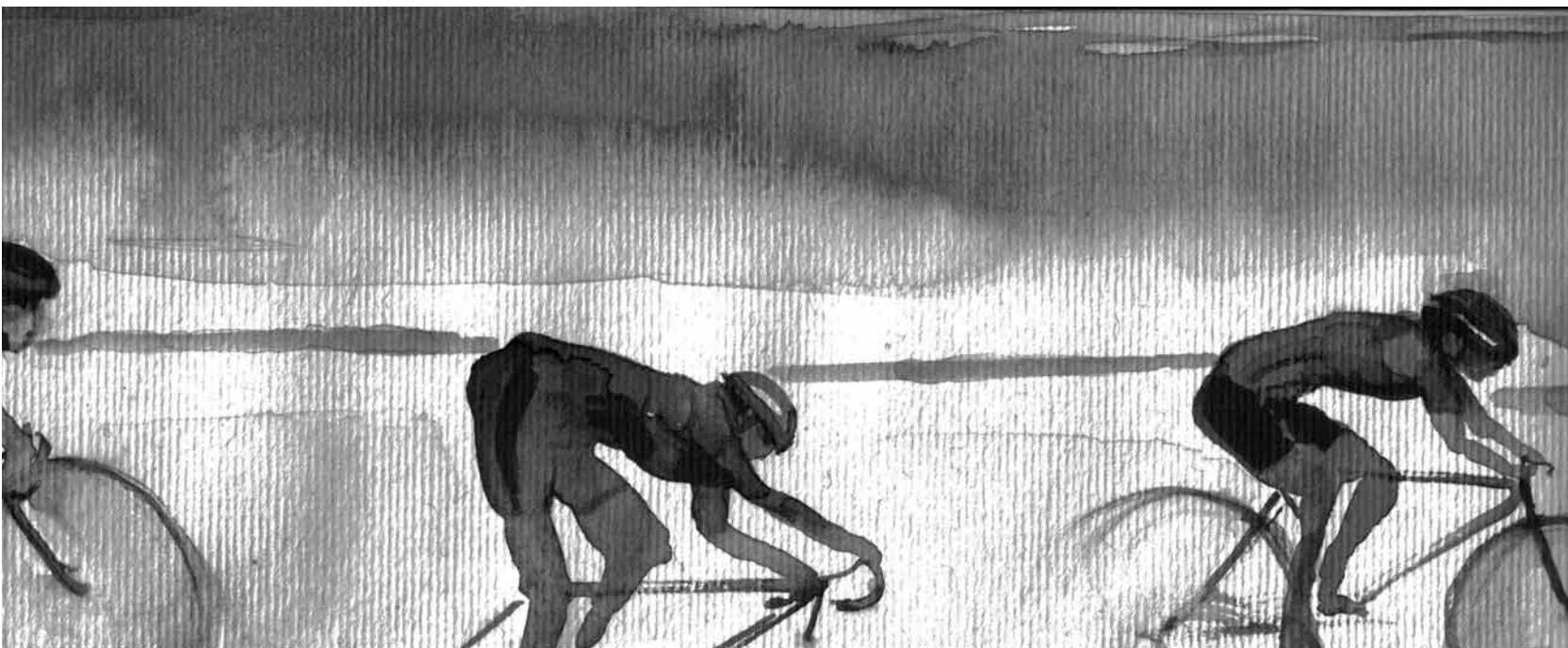
Zorganizowany pochód opuszczał szkołę, wyznaczoną trasą maszerował w rejon postoju - lub jak kto woli rozlokowania - gdzie z reguły długie godziny oczekiwał na chwilę szczęścia. Jeżeli w pobliżu znajdował się głośnik, można było z grubsza zorientować się, kiedy i kto nadjedzie w pierwszym rzucie, co dzieje się z „naszymi”, czy zbliża się peleton, czy poszła ucieczka, jaki jest los naszych ulubieńców. Dla tych, którzy dziś nie mogą pojąć mechanizmów tej zbiorowej psychozy, jakimś wyjaśnieniem niech będzie przypomnienie, że w biednych powojennych czasach telewizji jeszcze nie było, radio tkwiło w przysłowiowych powijkach, przenośny tranzystor pojawił się dopiero w latach sześćdziesiątych.

Oczywiście, wśród kolarskich fanatyków byli tacy indywidualiści, którzy wyłamywali się ze szkolnych rygorów. Ci podejmowali nie byle jaki trud i wędrowali na odległe peryferie, by w ciszy i bez tłoku

delektować się szlachetną kolarską walką. Takim wymarzonej miejscem był ciężki podjazd na górę we Wrzosowej. Tam rozciągnięty peleton pedałował statecznie, wręcz dostojnie, tam kolarze załatwiali potrzeby fizjologiczne, a ciekawi mogli dokładnie zapoznać się z tą kolarską techniką. Trzeba było mieć końskie zdrowie, by na piechotę zapychać tak opętany kawał drogi i jeszcze wrócić. Dużo bliżej mieli ci, którzy wybierali Wyczerpy, bo i tam było troszkę pod górkę. Trzeba zaznaczyć, że trasę przejazdu zamykano na kilka godzin przed, a i po nie od razu ją otwierano.

Najbardziej uroczyście było na linii finiszu, tuż obok kościoła Św. Zygmunta. Grała orkiestra, miłośniczynie panująca władza biła brawo, dziewczyny piszczały, całość wiwatowała, nawet jakiś żartowniś z punktu obserwacyjnego na kościelnej dzwonnicy uderzył radośnie w jeden z wiszących tam dzwonnów. Z gęstego tłumu nie było nic widać, co najwyżej zgięte kolorowe grzbiety mknącej kolarskiej masy, słychać natomiast było doskonale jakże charakterystyczny szum iluś tam kół, chrzęst przerzutek, pokrzykiwania zawodników...

Kolumnę kolarzy poprzedzały milicyjne samochody i motocykle, wreszcie pojazd z tablicą „pilot wyścigu”, na całej trasie uwijali się łącznicy na motocyklach, operatorzy kroniki filmowej – tu przypomi-



SENTYMENTY

na się legenda polskich sprawozdawców sportowych, filmowiec pan Szczeciński, kręcący z pędzącego motocykla lub samochodu, wdrapujący się na dzwonnice kościoła św. Zygmunta, skłonny do każdego ryzyka, byle zdjęcia były dobre, niepowtarzalne – i jeszcze jakieś uprzywilejowane samochody, i jacyś, w ich mniemaniu, bardzo ważni ludzie. Za peletonem sunął wąż samochodów poszczególnych narodowych ekip technicznych, a za ostatnim kolarzem posuwał się powoli autobus z wielkim transparentem „koniec wyścigu”. W autobusie tym podróżowali wycofujący się z rywalizacji kolarze. Poprzedzało go zazwyczaj kilku egzotycznych kolarzy, byli to najczęściej śniadzi Hindusi w kolorowych turbanach na głowach. Ci specjalnie się nie spieszyli, jechali swoim, spacerowym tempem, zatrzymywali się na odpoczynek przy przydrożnych sklepikach, pili napoje, jedli kanapki. Dopiero po la-



tach, gdy wprowadzono limity czasu, wyścig uwolnił się od zgłaszających się nań wycieczkowiczów.

Cała Polska знаła swoich bohaterów. W barwach biało-czerwonych jeździli ulubieni i uwielbiani: małeńki Elek Grabowski (o ile dobrze pamiętam gwiazda jednego sezonu), Wilczewski, którego przegrany finisz na stadionie w Warszawie (chyba z Włochem Castari) przeżywała cała Polska, a prasa przeprowadzała analizy, specjaliści rysowali wykresy, gospodynie załamywały ręce (o la Boga, moja pani!). Aż pojawił się Staszek Królak, który na dodatek w Stanisława, czyli w dniu swoich imienin coś tam wygrał, a końcu wygrał cały wyścig i trzydzieści milionów Polaków zachłysnęło się szczęściem. I znów nastały chude lata, brylowali Niemcy ze sławnym Tawe Schurem, Ruskie z różnymi Kolombietami i Pietrowami, czasem błysnął jakiś Italianiec, aż po wielu latach posuchy, ku

ogólnej uciezce pojawiły się nasze niezwyciężone „orły” - Szurkowski, Szozda, Czechowski...

Z wyścigu wracało się na ostatnich nogach, w pustym żołądku burczało z głodu, emocje nie pozwalały odrobić lekcji, zresztą wiadomo było, że żaden z nauczycieli w dzień po nie będzie próbował odpytywania. W nocy śniły się kolorowe kolarskie koszulki, przepiękne rowery, jakże inne niż nasze wysłużone „kozy”.

Ubocznym produktem Wyścigu Pokoju był wzrost usportowienia, każdy chłopak dosiadał wszystkiego, co miało dwa koła i pedały, i kręcił. Podwórka, ulice i place pełne były Hadasików, zmieniających się z latami w Królaków, aż po (to już prawie najnowsza historia) w Szurkowskiego i wielu, wielu innych.

A potem władza obraziła się na Wyścig Pokoju, pozbawiając naród tak wspaniałej rozrywki, a młodzież niewymuszonych lekcji patriotyzmu.

Zbislaw Janikowski

Rok Biegańskiego

Odbyły się uroczystości związane z rocznicami urodzin i śmierci wybitnego obywatela Częstochowy, dr. Władysława Biegańskiego (1857-1917). Ogłoszony w mieście Rok Biegańskiego – wielkiego lekarza,

filozofa, etyka, działacza społecznego - zainaugurowano oficjalnie ogólnopolską sesją naukową, której zadaniem było przybliżenie dorobku naszego Rodaka.

Następna konferencja będzie poświęcona polskiej pisowni. Grono naukowców i specjalistów z licznych naszych uczelni oraz z instytucji podległych Urzędowi Miasta spróbuje ustalić, czy i w jaki sposób na tzw. banerze na budynku ratusza znalazł się błąd ortograficzny. Naszym skromnym zdaniem błąd jest jak byk: nie piszemy **dra** tylko **dr.** - takie są ogólnopolskie zasady ortografii.



Sypnęło galeriami

Dom Poświatowskiej. Inna z wybitnych przedstawicielek naszego miasta, znakomita poetka Halina Poświatowska doczekała się swojego muzeum. Dom Poezji im. Poświatowskiej otwarto przy ul. Jasnogórskiej 23. Byliśmy na oficjalnym otwarciu i podziwialiśmy tłumy gości. Samo Muzeum jest jeszcze skromne i zawiera raczej niewiele eksponatów. Będą tu natomiast organizowane wieczory poetyckie i rozmaite imprezy. Liczymy na piwny ogródek.



Popówka. Po kapitalnym remoncie oddano do użytku Popówkę. Było oficjalne otwarcie. Mogliśmy podziwiać pięknie wykończone wnętrza oraz niewielką wystawę fotograficzną o pielgrzymkach, jako że w budynku ma się docelowo znaleźć Muzeum Pielgrzymstwa. Na razie jest bardzo sterylnie i zaskakująco: makieta Jasnej Góry – niespełna dwa km od oryginału!



Z MIASTA

Katedralna 8. W dawnej kamienicy kupieckiej umieszczono stałą Galerię Malarstwa i Rzeźby. Było oficjalne otwarcie. Ekspozycje przeniesiono z Popówki. Bilety wstępu od 3 do 8 złotych. Wedle słów prezydenta Tadeusza Wrony, ta część miasta



będzie się intensywnie rozwijać: był remont kamienicy kupieckiej, trwa remont katedry, będzie remont ul. Piłsudskiego, w dawnej Konduktorowni znajdzie siedzibę Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych

Konduktorownia lada chwila ma być oddana do użytku. Piotr Głowacki, prezes Zachęty: *Wszystko wskazuje na to, że z kilkudniowym poślizgiem będzie dotrzymany termin przekazania Konduktorowni. Wyrażamy radość z tego faktu i wdzięczność wszystkim osobom z kilku wydziałów urzędu miasta a szczególnie podziękowanie prezydentowi Tadeuszowi Wronie. W czerwcu spodziewamy się podpisania umowy między UM a Zachętą. Zaraz po podpisaniu umowy Zachęta przystępuje, już na własny koszt (sponsor Zygmunt Rolat), do adaptacji miejsca na galerię i do zakupu wyposażenia. Zachęta adresuje wszelkie działania do ogółu mieszkańców i turystów. Hasłem Zachęty jest: standard i luz. Zapraszamy od sierpnia. Program jest atrakcyjny, a będzie wzbogacony.*

Reporter rysunku

W Bibliotece Głównej Akademii im. Jana Długosza otwarto kolejną wystawę z jej zbiorów pt.: „Feliks Topolski – reporter rysunku”. Wystawę przygotował Dział Informacji Naukowej i Bibliografii, kierowany przez Iwonę Mielczarek, opracowaniem plastycznym zajął jest jak zwykle adj. Jacek Łydzba. *Jego sztuka jest trudna do sklasyfikowania, artysta nie ulegał bowiem panującemu modom; poza latami młodości nie należał do ugrupowań artystycznych, był twórcą w pełni niezależ-*

nym (...) Z Polską utrzymywał stałe kontakty (...) ale do dziś pozostał w swej ojczyźnie artystą mało znanym, mimo, że spośród polskich malarzy on właśnie zrobił w XX w. największą światową karierę – napisała we wstępie do ładnie wydanego katalogu dr Elżbieta Wróbel. Pokazane obiekty, w tym przede wszystkim fragmenty słynnej „Kroniki”, są własnością Biblioteki Gł. i stanowią bardzo cenny, przez wiele lat uzupełniany zbiór. (jg)

Fotoreporter światowy

Pochodzący z Częstochowy Maciej Nabrdalik zdobył Grand Press Photo 2007 na prestiżowym konkursie fotograficznym. (Zdjęcie roku przedstawia K. Marcinkiewicza tuż po przegranych wyborach na prezydenta stolicy). Gratulujemy laureatowi!

Muzyka sakralna



Jak każdego roku, odbyły się wielkie koncerty, profesjonalnie przygotowane w ramach Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. Dla nas najbardziej oczekiwaną atrakcją była „Msza kreolska” Ariela Ramireza i tenor z Argentyny – Javer Rodriguez Dante Basso.

Był jazz, będzie jazz

Odbył się **VI Festiwal Jazzu Tradycyjnego - VI-th HOT JAZZ SPRING**. Z tej okazji w filharmonii pokazano wystawę Zbigniewa Burdy „Hot Jazz Spring nad Wartą”. Warto było być.



„*Yanina*” w *Atenach*. Na tegorocznym European Jazz Festival w Atenach zaproszono kwintet Janusza „Yaniny” Iwańskiego, z udziałem Milo Kurtisa. Przy okazji przypomnijmy występ Iwańskiego na niedawnej wielkiej gali koncertowej w Drohiczynie, poświęconej pamięci gen. Władysława Andersa, gdzie „Yanina” wykonał utwór Krzysztofa Klenczona „Biały krzyż”. Rewelacja!

Stowarzyszenie Jazzowe w Częstochowie podpisało umowę z Filharmonią Częstochowską na wynajem pomieszczeń po byłej kawiarni artystycznej. Przenieś się tam działający wcześniej przy Alei NMP 2 znany klub jazzowy „Paradoks”. Jazz jest wieczny!

Tajemniczy ogród

Teatr im. Adama Mickiewicza wystąpił z premierą sztuki „Tajemniczy ogród” wg F. H. Burnett. Autorem adaptacji i reżyserem jest Cezary Domagała. Losy rozpieszczonej sieroty, Mary Lennox, która po śmierci rodziców zamieszkała u bogatego, ale pełnego goryczy, zdziwaczałego wuja, pokazał on w formie musicalu przeznaczonego dla starszych dzieci i dorosłych. Warto podkreślić wiktoriański klimat i rozbudowaną scenografię Bożeny Pędziwiatr.



Miasto w filmie

„*Kto wie*” to teledysk nagrany przez zespół NE-FRE a wydany przez Wytwórnę Filmową Chacifde. Filmowa akcja rozgrywa się w naszym mieście. Można w nim zobaczyć charakterystyczne dla Częstochowy miejsca oraz odnieść wrażenie, że wszyscy tu tańczą.

Spacer po Częstochowie, to film wydany na płytach DVD, zachęcający do odwiedzenia naszego miasta. W roli przewodników występują aktorzy Agata Ochota-Hutyra i Piotr Machalica. Wytwórnia KAS-film zapowiada wydanie kilku wersji językowych.



Polonica

Teatr Legion. Teatr Legion, którego dyrektorem artystycznym jest częstochowian Wojciech Kopciński, w kościołach w Altenkunstadt i Wesmanie (Niemcy) zaprezentował spektakl pt. „Leiden” (Cierpienie). To interesujące widowisko pasyjne, w którym uczestniczyli młodzi adepci sztuki aktorskiej i wokalne z Polski i Niemiec. Współudział w tym artystycznym przedsięwzięciu ma także inny częstochowianin - scenograf Marian Panek. Pierwsza znacząca realizacja tego widowiska odbyła się w 2005 r. w katedrze w Opolu.

Legiony. Przez Częstochowę przeszedł uzbrojony oddział legionistów, przybyły z Italii w rocznicę powstania Legionów Polskich gen. Henryka Dąbrowskiego. Była musztra i ostre strzelanie. Miłośnicy dawnej barwy i broni narobili w mieście sporo zamieszania i dymu, ale obyło się bez incydentów – władza kompetentnie czuwała.



Fotografie: Z. Burda, P. Dłubak, J. Piernikarski oraz Archiwum A3

WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 3

Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podzdamy

PRZEBUDOWA

Każdy, kto przechodzi III Aleją, widzi, że ta reprezentacyjna ulica wygląda już znacznie lepiej niż latem zeszłego roku, choć nadal ktoś tam dłubie. Być może latoś przyjdzie pora na dwie pozostałe z 3 Alej. „Worek” proponuje postawić w Alejach i okolicach coś, co udowodni państwu, że Częstochowa nie wlecze się w ogonie, jeśli chodzi o trendy artystyczne. Przede wszystkim należy zachować budki z okresu transformacji (a także te przy ul. Piłsudskiego i na „kwadratach”). Nieoficjalnie wiemy, że planowana jest budowa linii tramwajowej z Placu Daszyńskiego na Plac Biegańskiego. Wskazuje na to choćby usunięcie z Alej komunikacji autobusowej. Nasz „kontakt” w MPK zdradził, że firma zamierza zakupić – znany choćby z ulic Krakowa – tramwaj dwustronny. Dzięki temu wystarczy wybudować tylko jeden tor, a reszta środkowego pasaży zostanie wolna. Nareszcie przestaną się z nas nabijać w Polsce, że mamy tylko jedną linię tramwajową.

POTEŻNY SOJUSZNIK

W tym roku mija 10 lat od wyborów parlamentarnych, po których zwycięzcy zlikwidowali województwo częstochowskie. Przez ten czas mieszkańcy naszego Miasta zdążyli zatęsknić za dawnym statusem. Rozwija się ruch społeczny na rzecz restytucji województwa częstochowskiego. Niedawno odwiedził nas Remo Targuzzi, szef Stowarzyszenia na Rzecz Odtworzenia Cesarstwa Rzymskiego. Odwiedził Jasną Górę, obejrzał obrazy w galeriach, skosztował frytek na Piłsudskiego. Targuzzi zapowiedział, że kiedy Imperium Romanum powstanie ponownie, wtedy, jako Remus Augustus Cezar, dołoży wszelkich starań, by dopomóc Częstochowie w jej aspiracjach. Czekamy z wielką niecierpliwością!

DRUGI TEATR?

Nie tak dawno jedna z ukazujących się w Częstochowie gazet zainicjowała dyskusję o naszym mieście. Główny problem daje się właściwie sprowadzić do pytania: czy jest ono prowincją, czy nie? Z radością informujemy, że w ramach unijnego „Programu Uświatowiania i Deprowincjonalizacji” Częstochowy w 2007 roku ma wzrosnąć liczba instytucji kulturalnych. W końcu skoro Kraków może mieć więcej niż jedno kino, to dlaczego my nie? Zacznie się jednak nie od kina. Falę zainauguruje Teatr św. Tulerusa pod dyrekcją legendarnego Jarosława Deydygolta. Siedziba teatru znajdzie się najprawdopodobniej przy ulicy Częstocha w zabytkowej XVIII-wiecznej stodole, przeniesionej w całości z Lubojny.

NIE TĘDY DROGA

Niepowodzeniem zakończyła się premiera operetki Augusta de Labrutte-Surlonge’a „Kolejarz w opałach”, wystawiona przez Operetkę Częstochowską (w Budowie). Reżyser Tomasz Bibosz, dokonał przesunięcia akcentów i zmian tekstu. W rezultacie spektakl przekształcił się w wielki, choć grany na żywo spot reklamowy mecenasów operetki: Restauracji Indyjskiej „Pesza” oraz Wytwórni Sztucznego Zarostu „Częstowaś”, a z oryginalnego tekstu pozostały tylko największe sprośności. Pozostaje mieć nadzieję, że taka masakra na utworze jest jedynie premierowym ukłosem w stronę sponsorów, a kolejne przedstawienia będą miały normalny przebieg.

BARDZO STARA FOTOGRAFIA

W Muzeum Miejskim można oglądać arcyciekawą wystawę „Światłobrazy Klasztoru Jasnogórskiego pana Samuela Kielbasy”. Składa się ona z dużych reprodukcji 20 fotografii Jasnej Góry, wykonanych w 1657 r. Samuel Kielbasa, lecząc się z ran poniesionych w bitwie pod Gołębim, wynalazł dagerotyp, ale po obłożeniu ekskomuniką zarzucił fotografię. Dopiero niedawno odnaleziono negatywy w piwnicy jego zrujnowanego dworku. Jak na dzisiejsze standardy, zdjęcia są dość marnej jakości, tym niemniej technika Kielbasy była bardziej zaawansowana niż wynalazek Daguerre’a z 1835 roku, bo zdjęcia są kolorowe. Poza tym można na nich zobaczyć, jak naprawdę wyglądała Jasna Góra i Częstochowa zaledwie dwa lata po szwedzkim oblężeniu.

POŚWIĘCENIE DLA MUZYKI

O tym, że zawód muzyka nie należy do bezpiecznych, przekonywać nie trzeba. Wystarczy wspomnieć Chopina, Schuberta czy Jimmiego Hendriksa. Ostatnio w Fisharmonii Częstochowskiej Jerzy Tyrpman, podczas próby generalnej oratorium „Nos wielki zdarzył się tam”, wybił sobie batutą dwa zęby. Niezrażony, dyrygował dalej z rozbitym pyskiem, aż doprowadził utwór do końca. Dopiero potem wyszedł z sali i być może udał się do dentysty. Wybite zęby wprawdzie trudno wstawić jeszcze tego samego dnia, ale mimo to postawa dzielnego dyrygenta budzi w nas podziw.

ZDOBYCZE KULTUROZNAWSTWA

Studentka etnologii na Akademii Jana Dłutosa Marta Kozdój otrzymała stypendium Rady Plemiennej Piasłupów za swoją pracę magisterską „Ceremonialne oczyszczenie łysych w plemionach środkowego biegu Okavango”. Piasłupowie, jeden z narodów Syberii Wschodniej, od pięciu lat przyznają stypendia dla autorów najlepszych prac z dziedziny etnologii małych grup narodowościowych. Co ciekawe, mają oni świadomość istnienia Częstochowy, którą uważają za przeciwny środek świata (być może pod wpływem sąsiadującej z nimi grupy etnicznej Arszawiaków). Laureatka zdradziła nam, że po ukończeniu studiów zamierza objąć stanowisko specjalisty do spraw kulturalnych w Biurze Plemiennym Piasłupów (rodzaj konsulatu) w Częstochowie, którego otwarcie planowane jest na 22 września tego roku.

KONCERT NIE TYLKO DLA ROLNIKÓW

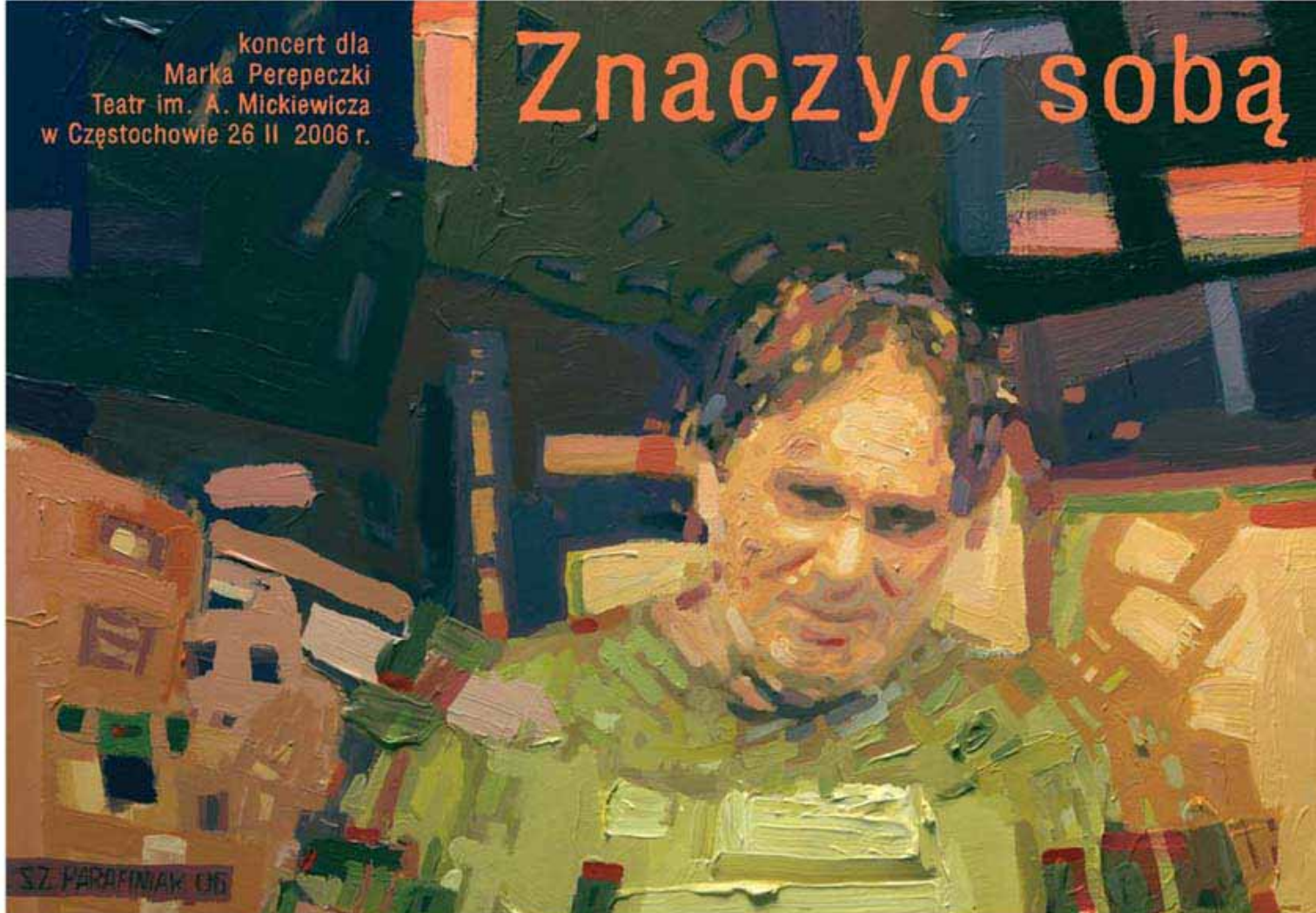
Niewątpliwym wydarzeniem muzycznym będzie planowany w Częstochowie na połowę lipca koncert Spechtauer Bäuerliche Spiel- und Gesangverein, występującego z akompaniamentem narzędzi rolniczych, pod batutą Maksa Schlüpfera. W repertuarze m.in. Schubert, Bach oraz wyjątki z oper Wagnera. Najbardziej oczekiwany jest schubertowski „Pstrąg” na grabie zwykle i wachlarzowe, sieczkarnię oraz zestaw konewek, a także „Beglückt darf nun...” Wagnera z użyciem traktora, syreny strażackiej i kazi z piwem. Bilety do nabycia w kasach KRUS.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

W najbliższym okresie Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 organizuje kolejne spotkania dla młodych artystów. 18 czerwca odbędą się warsztaty „Pobudzenie ośrodków artystycznych w organizmie”, który poprowadzi Eduardo Bagoy, dyplomowany znachor z Filipin. Natomiast 26 czerwca Olgierd Paprzyca zaprezentuje wykład omawiający główne zagadnienia jego najnowszej publikacji „Jak wywołać karczemną awanturę”, niezwykle przydatny dla każdego autora.

koncert dla
Marka Perepeczki
Teatr im. A. Mickiewicza
w Częstochowie 26 II 2006 r.

Znaczyć sobą



Znaczyć sobą - plakat offset

SZYMON PARAFINIAK

Ur. 1966, absolwent Wydziału Grafiki ASP w Krakowie. Projektuje plakaty muzyczne i teatralne, albumy i wydawnictwa artystyczne. Prowadzi studio graficzne i wydawnictwo. Współpracuje z galeriami sztuki, teatrami i klubami muzycznymi. Maluje portrety

Udział w wystawach:

- 1991 - Galeria Del Bello, Toronto - "Miniatury"
- 2003 - GAUDE MATER - Częstochowa - "RY(T)MY częstochowskie"
- 2004 - Festiwal GARAŻ - Częstochowa - "Plakaty"
- 2005 - Teatr im. Mickiewicza w Częstochowie - "Ojcowie i córki" - portrety
- 2005 - Biblioteka Główna Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie - "Materia książki"
- 2005 - Shott - Częstochowa - "Genesis - Malarze Zachęty"
- 2006 - Bałtycka Galeria Sztuki Współczesnej - "Muza ..."
- 2006 - Muzeum Częstochowskie - "Project or ..."
- 2006 - Śląski Zamek Sztuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie - "Muza ..."
- 2006 - Filharmonia Narodowa, Stary Browar - Era Jazzu - Christmass Tour - indywidualna wystawa plakatu
- 2007 - Galeria "Wejściówka", Gazeta Wyborcza - Częstochowa

